









0.10  
4650

# NIEWOLNICA

p i s a ł

GRZYMALITA.

*fabryczny drukarz*

---

INSTYTUT  
BADAN LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-380 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

L w ó w.

Z drukarni krajowej M. F. Poremby.

1873.

Skład w drukarni  
GUBRYŃSKO-WOJCIĄŻE-SZMIDTA  
WE LWOWIE



MIEJSCOWOŚĆ

1881

GRYFALITA

L w ó w

Wydawnictwo Księgarni Krajowej w Warszawie

1873

<http://rcin.org.pl>

2191

OSOBY:

PURKOWNIK, żołnierz wielkiej armii

STANISŁAW, 23-letni syn

tegoż

MANIA, 15-letnia córka

MARIANA, 23-letnia gubernantka Mani, (o najlepszym to

dość słynna)

SWIETOSŁAW, były gubernator Stanisława, (z wyjątkiem

głównym, jednakże w tym kierunku czynnikiem

był, w tym czasie)

# ANIOŁ W ŻYCIU

PAWŁO PAWŁOW, 27-letni Moskita

WYSKAŃCZAK, Rządca narodowego

ŻOŁNIERZ, & oddziału szkoleń

KRÓLEWI, KOZACY, SZUSZA

Ważną rolę w dziejach się w Dobrowie, majątku Pulchowicza na gra-

nicę Krolewska w 1863 roku.

## O S O B Y:

PULKOWNIK, żołnierz wielkiej armii.

STANISŁAW, 23letni syn

MANIA, 15letnia córka } tegoż.

MALWINA, 25letnia guwernantka Mani, (*w najlepszym rodzaju elegantka.*)

ŚWIĘTOSŁAW, były guwerner Stanisława, (*szczuplutki, gładziutki, hajdawary w buty, czemerka czarna zapięta, szpinka, pas z kłamrą, niebieskie okulary, wąsy wymuskane.*)

PAWŁO PAWŁÓW, czyli Moszko.

WYŚLANIEC, Rządu narodowego.

ŻOŁNIERZ, z oddziału Sokoła.

ZBROJNI, KOZACY, SŁUŻBA.

Rzecz dzieje się w Dębowie, majątku Pułkownika na granicy Królestwa w 1863 roku.



# AKT I.

## Scena pierwsza.

*Przed zamkiem Werandach na ogród, krzesła, stół, na nim  
dzienniki*

MALWINA — ŚWIĘTOSŁAW.

Ś w i ę t o s ł a w (*składając i rzucając na stół przeczytany dziennik.*)

Niestrawna Paplanina! — Z wiatrakiem wojować,  
Hultajski bigos nowin odgrzewać przez lata,  
Popieprzać go, posalać baśniami ze świata,  
Z pchły robić słonia — to zwać dziennik redagować. —  
Jakbym ja kiedy także uległ Paplomanii  
Ty Kasiu, sprowadzawcą z Sejmu Dzin - Dżang - Tanii.

M a l w i n a.

Ach, Kasiu! znowu Kasiu, pókiż będę drżała —  
By twoja płochość winy mojej nie wydała?  
Błagałeś — a na obcą zamieniałam duszę,  
Kazałeś — obce imię sobą kalać muszę,

Za to wszystko cóż żądam? czyż żądam miłości?  
Nie! tylko zapomnienia, tylko oględności.

Świętosław.

Niebaczne słowo, ileż ściągnęło wymówek!  
Ile myśli w tej główce, tyle cierpkich słówek,  
Znać jak bogate źródło goryczy w twej duszy,  
Gdy bije tak obficie, skoro go co wzruszy.  
Ty mnie nigdy nie pojdziesz, niesforna dziewczyno!  
Kipisz, — kiedym ci właśnie chciał mówić Malwino!  
Nie śmieję się, lecz ilekroć milcząc patrzę na cię,  
Gdy tak siedzisz w ledziuchnej muślinowej szacie,  
Istny posąg, dwóch Bogiń łączący przymioty,  
Pallady spokój, z Idy niebiańskiej slichoty;  
Jestem sam z siebie kontent, nawet bardzo dumny,  
Żeś ty taka powabna, ja taki rozumny,  
I żeś odgadł od razu, jaką tworzą całość —  
Twa piękność i przymiotów twoich doskonałość.

Malwina.

Nie lubię takich wspomnień, bołą mnie i smucą:  
Na cóż czasy odżywiać, które już nie wrócą.

Świętosław.

Wszak się godzi mistrzowi chęlcic z arcydzieła?  
Przypomnij sobie, nimesz kochać mnie zaczęła,  
Któż w dziewczątku Aspazii mógł przeczuć zalety?  
Któż w Kopciuszku Ideal odgadnąć kobiety?  
Jam nurek, com cię perło oderwał od skały,  
W mem oku twe światelka po raz pierwszy drżały;  
Gdyby nie ja, skarb, w takie uroki bogaty,  
Sanocki jaki Borsuk byłby skrył w karpaty.

Malwina.

Jak ty mnie upokarzasz, nawet pochwałami?  
Coś pragniesz, widzę jasno, — mów, wszakeśmy sami.

Świętosław.

Ho! Ho! Lente prudente, jedno płoche słowo,  
A długoletnia praca przepadnie jałowo.  
Czyś pewna?

Malwina.

Najpewniejsza — Oni gdzieś w ogrodzie,  
Staś zgryziony pojechał.

Świętosław.

Otóż to mnie bodzie,  
Ze on ciebie tak kocha — A i ty, być może,

Malwina (*udając rozśmieszoną.*)

Cha! cha! cha! Nie poznaję ciebie mój Mentorze!  
Gdzież rozum? gdzież rozwaga, co tak wszystko waży?  
Zazdrośnys? — Z tem, wierzaj mi, tobie nie do twarzy,  
Cóż jeszcze chcesz odemnie? Co mam wszystko twoje.  
Czynię, co tylko każesz — Czemże niepokoję?  
Czyż wszystkim nie zwalczyła? nawet głos sumienia,  
Czyż wszystkim nie spełniła twoje przewidzenia?  
Czyż mogłeś się spodziewać, że na twe żądanie  
Uczennica Mistrzynią w mgnieniu oka stanie,  
Taką, iż i w Paryżu w Guwernantki roli,  
Huczne oklaski zbierać mogłaby do woli.  
Wszakże by w rzeczywistość przeszło tve małżeństwo.  
Trzeba, by się Staś we mnie rozkochał szalenie.

## Świętosław.

To prawda. — Doskonałaś — Gdy cię w śród nich widzę,  
 Ja wytrawny artysta, przy tobie się wstydzę;  
 I nie raz, gdy naiwnie nęcisz Stanisława,  
 Tęgo trzymać się muszę, bym nie huknął „Brawa“ !  
 Tyle w grze twej koloru, światła i odcieni,  
 Że mi się raczej prawdą niżli złudą mieni. —  
 Więc przebacz mi, a szczerze, me żarty dziecinne,  
 Bądź i w tem Kasiu wyższą nad kobiety inne;  
 A pomnij, że ja także mam ludzkie słabości,  
 Chwile zwątpienia, częste napady zazdrości,  
 Które zimna rozwaga przewycięzać musi:  
 Ale tę zazdrość rozum wkrótce zmoże, zdusi,  
 Wszystko pójdzie jak z płatka — Ty wszechwładną Panią  
 Na Dębowie zostaniesz; ja gorszym udziałem  
 Zaspokoić się muszę.

Malwina.

Tak posagiem — z Manią!

Świętosław.

Szczęśliwy, kto się umie zadowalniać małym. —  
*Paterna Rura*, kazać, własnymi pruć woły,  
 Dla ruchu, raz na tydzień przejść się do stodoły,  
 Z Hawannem w ustach drzemiąc, smaczny obiad trawić;  
 Tak chciałbym się Kasiuniu całe życie bawić!  
 W tem wszystkim żadnej zbrodni dopatrzyć nie mogę,  
 Ani też zbyt występnej nie widzę grabierzy,  
 Sięgać po szczęście, chociaż w cudzej skrzyni leży;  
 Więc Kasiu przyłóż ręki i równaj nam drogę. —  
 Wszak kraść, byle ostrożnie, zalecano w Sparcie;

Dziś lepiej: — dziś się kradnie w biały dzień, otwarcie;  
 Nie bankiem, to kolejną — nie kolejną, bankiem,  
 By zostać wielkim mężem, co najmniej wysłankiem; —  
 Działajmyż po przysłowiu: „Wpadniesz między wrony,  
 Nie udawaj słowika, lecz krakaj jak one.“

Malwina.

Asceto! Wiesz, że ja się w zazdrostki nie bawię,  
 Jak czas przyjdzie, zupełną wolność ci zostawię,  
 I do twojej Sielanki, dodam młodą żonę,  
 Dowcipne Świętosławki, pulchne, najedzone,  
 Ale teraz mi nerwów nie drażń bezpotrzebnie.

Świętosław.

Unosisz się jak widzę, — to dla mnie podchlebnie:  
*(zbliżając się do niej zalotnie)*

Malwino! Jakie dzisiaj ciemne twoje oczy?  
 A czoło pod diademem twych złotych warkoczy,  
 Gładziusieńkie, niewinne, jakby u dzieciątka. —

Malwina *(uchylając się)*

Ach tylko w cztery oczy, nie bawmy się złudą,  
 Bo to grozi zawodem, a co gorzej, nudą.  
 Zakończmy te szermierki, — pragniesz niewinniątka,  
 Dlaczegoż mnie obrażasz? — Czyż tobie należy,  
 Odnawiać ból wieczysty, a zawsze tak świeży,  
 Któremś duszę mą złożył?

Świętosław.

Widno, jak wygodnie —  
 Po za osłonę cnoty cofać się swobodnie;  
 Jeżeli nią tego który w twoich myślach czyta,

Chcesz olśnić, niby jaka zwyczajna kobieta  
Daj pokój tym skromnostkom, mnie niemi nie złudzisz.

Malwina.

I dokądże te wszystkie wiodą nas rozmowy :  
Zazdrościami mnie nekasz, wyrzutami nudzisz,  
Kobieta się znudziła, — milszy kwiatek nowy, *(bez gniewu)*  
Wolemy się rozłączyć, otwarcie, w przyjaźni,  
Ja ci szkodzić nie będę, nie miej tej bojaźni.

Świętosław.

Bądźmyż raz rozsądnemi, gdy już cel przed nami,  
Nie nam go dziecinnemi odsuwać swarami;  
Spólnicy żyjmy w zgodzie, a wkrótce zwyciężem,  
I nad siły się nawet wcale nie nateżem;  
On szaleje za tobą, na niej mniej zależy,  
Skoczy w przepaść, nim okiem całą głębią zmierzy.

Malwina.

Lubię cię, gdy tak mówisz: masz dużo rozsądku,  
Bystrości w spostrzeżeniach, w zamysłach porządku;  
Więc zgoda między nami. Wracają z ogrodu, —  
Czytaj który z dzienników.

Świętosław *(porywając pierwszy lepszy dziennik)*

Zmiana Ziemiopłodu!

*(ciszej do Malwiny)*

„Z Rolnika“ — Po rzepaku pszenica się rodzi.

Malwina *(cicho)*

O myśmy z naszą siałą zbyt wiele kłakolu;  
A co siane w złej myśli, to zakwita w bolu.

## Scena druga.

CIŻ SAMI, PUŁKOWNIK, *później* MANIA.

Pułkownik (*który był stanął słuchając, co Świętosław czytał*)

A Panie Świętosławie! czy też to się godzi?

Nudzić Panią Rolnikiem; i Pani cierpliwie

Tak się dręczyć pozwala?

Malwina.

Owszem bardzo chciwie

Słucham o gospodarce: — nasz los na wsi siedzieć,

Więc kobietom przystoi rozumieć i wiedzieć,

Jak panowie pracują. Wszak czasem wypadnie,

Gdzie zastąpić, w czym pomódz, jakto wtedy ładnie,

Kiedy mąż się przekona, że w nagłej potrzebie,

Może na swą Gosposię, liczyć jak na siebie.

(*do wchodzącej Mani*)

Wszak prawda *mija cara*? -- Ach jakżeś zegrzana?

Niedawno po katarze, chrypisz jeszcze trochę,

Chodźże do mnie po burę moje dziecko płocze!

(*zakrywając ją swoim płaszczykiem*)

Weź mój płaszczyk, bo jeszcze bardzo chłodne rana,

Siądź tutaj, za tą ścianką, tu wiatr nie dochodzi,

A ciżemki nie mokre? Mów, to bardzo szkodzi.

Mania.

Latałam jak szalona, Bóg wie za czem, na co,

A ty uśmiechem witasz niedobre ładaco.

(*kobiety siadają, mężczyźni zostają na przodzie sceny*).

Pułkownik (*do Świętosława*)

Już to przyznać należy, że dla mej Maryni,  
Skarb znalazł.

Świętosław.

Pani tylko swą powinność czyni.

Pułkownik.

O Purytani cnoty — skoro jedno chwale,  
Drugie musi dorzucić zawsze jakieś Ale.

Świętosław.

Prawdę mówić, tem więcej każe mi sumienie,  
Iż ja czyn każdy cenię, ile trudność cenię.  
Wychwalać? Cóż wychwalać? Łatwe jej zadanie,  
Gdy przyjaźń kierownikiem, bodźcem przywiązanie.

*(zwracając się tak, by Mania słyszeć mogła)*

Bo też, cóż je rozdziela, a wszystkoż nie łączy?  
Dziewica tam zaczyna, gdzie dziewczątko kończy,  
Że śliczną tworzą całość. — Jedna jak na skale,  
O którą się płochoci rozbijają fale,  
Stoi już pewna siebie i swojej wartości;  
Druga w całym powabie przyszłej wspaniałości:  
Jej skrzydłem od burz świata bezpiecznie zakryta,  
Kwitnie, nim się z Anioła wyłoni kobieta.  
Że jakby z jednej modły wydobyte obie,  
W pełnej doskonałości są tylko przy sobie.  
Więc za cóż mam wychwalać to w Pannie Malwinie?  
Co u niej nie z sumienia, ale z serca płynie.

Pułkownik.

Mój Poeto, trzebaby dać ci trochę chłodu,  
By ci w życiu częstego oszczędzić zawodu,



Bo choć Malwina wyższa nad inne kobiety  
 Szlachetnością umysłu, a serca prostotą,  
 Skromną, wyrozumiałą chrześcijańską cnotą,  
 Zawsze jej między wielkie policzam zalety,  
 Że do mej Mani siostry czuje przywiązanie,  
 I z serca nie z sumienia pełni powołanie.

Mania (*wstając z Malwiną*)

Papo! Ta niepocziwa psuje mnie szkaradnie:  
 Pieści, kiedy wylając trzebaby przykładnie.

Malwina.

*Deer Child*, powtórnie błądzisz, więc cię ganię śmiało;  
 Nie sądź starszych, bo nato życie znasz za mało,  
 Czy cię pieszczą, czy karcą, ich rozwadze ufaj,  
 Twej główce nie dowierzaj, serca zawsze słuchaj.

Świętosław.

Panna Marja za ostro sama siebie sądzi,  
 Kto tak dobrze czuć umie, rzadko kiedy błądzi.

Mania (*cicho do Malwiny*)

Ten nieznośny Świętosław, istna plaga nasza,  
 Nie mówi, tylko z książek ustępy wygłasza.

Pułkownik.

Wierzcie mi, że w pośród was ile razy stoję,  
 Zdaje mi się, że dzieci mam czworo nie dwoje.  
 Ale! Ale! gdzież czwarte?

Świętosław.

Jest Lament po siołach,  
 Bo dziki co noc ryją, i tratują zboże,

A że on na płacz nędzy patrzeć się nie może,  
 Pojechał na zasadzkę wybrać miejsce w dołach;  
 I nowym Meleagrem, nawet bez pomocy  
 Atalanty, oczyścić Dębów jednej nocy.

Pułkownik.

Zacna, poczciwa dusza.

Świętosław.

Podobnych mu mało,  
 Starego rodu imię będzie nosił z chwałą,  
 Bo śmiały, a serdeczny, łagodny choć krwisty

Malwina.

Pułkowniku, wart ciebie, bo twój obraz czysty.

Świętosław (*zwracając się ku ogrodowi*)

*Heu! Lupus in fabula!*

Mania.

Staś przez bramę sady!

Pułkownik.

Chwat jeździec — dobrze siedzi — za ostro prowadzi,  
 Nie ma ręki spokojnej — za krótko osadził,  
 Abiat aż siadł na zadzie; — nadto tył zgromadził. —

### Scena trzecia.

CIŻ SAMI, STANISŁAW (*z pękiem leśnych kwiatów w ręku*)

Stanisław (*całując ojca w ramię*)

Dzień dobry Papie.

## Pułkownik.

Chłopcze, na pierwsze śniadanie,  
 Muszę ci uszy natrzeć za takie zsiadanie;  
 Koń miętki, ty go w miejscu piorunem osadzasz,  
 I nim się uspokoi, skaczesz zeń, nie zsiadasz.  
 Sto razy to się uda, lecz jak raz zawiedzie,  
 Koń pomknie, a z nim noga w strzemieniu pojedzie.  
 I będzie pan Dołęga, co miał w herbie strzemię,  
 Poślisko się urwało, a on hep o ziemię.

## Mania.

Papo, nie łaj mi Stasia, patrz, rosą zperlony  
 Przywiózł bluszcz, dzwonki, puszki, i lilii korony,  
 Ach to śliczne, prześliczne, prawda że to moje?

## Stanisław.

Twoje Maniu. Niedawno dzieliłem na dwoje;  
 Dziś może i biednemi wzgardzonoby kwiaty,  
 Bo nadto byłbym dumny, a z kwiatów mógł wyssać  
 Jaką myśl, i za słodkim snem się ukołysać.

Malwina (*jakby nie słysząc Stanisława i mówiąc do Mani*)

O na to nie pozwolę! bukiet tak bogaty,  
 Choć taki powikłany, — związany niedbale;  
 Że zeń biorąc mój udział, nie skrzywdzę go wcale.

## Świętosław

(*Gdy Malwina w ręku Mani rozdziela bukiet, Świętosław przystępuje do Mani, i mówi zalotnie.*)

Jeżeli pytać wolno, zna Pani ten kwiatek?

Mania.

Mój Boże! któżby nie znał, wszakże to bławatek.

Świętosław.

W języku kwiatów mówi — milczący się smuce.

Mania.

To nudny jakiś kwiatek, zaraz go wyrzuce.

Malwina.

*(skończywszy podział, zwraca się ku Stanisławowi, wprowadzając go na bok.)*

Wzięłam bez pozwolenia, na łaskę się zdaję,  
Niech mnie Pan za mą śmiałość zbytecznie nie łaje.

Stanisław.

Z tylu słów, jedno słówko za hojną zapłatą.

Malwina..

Przebaczenie tak wdzięczne przyjmuję, — a za to,  
Za to — za to, — cóż Panu mogę dać w podziękę?  
Oto może do zgody na dzień cały rękę. — *(podając rękę.)*

Stanisław *(ściskając rękę Malwiny)*

O Pani dla szaleńca to szczęścia za wiele!

Pokojowy *(wchodząc)*

Samowar już zakipiał.

Pułkownik.

Chodźcie dzieci moje.

*(wszyscy wychodzą, prócz Stanisława i Malwiny, która tyłem do tegoż obrócona, zbiera ze stołu robotę.)*

Malwina (*zwracając się i udając zdziwioną.*)

Pan Stanisław tu jeszcze?

Stanisław (*po krótkim pasowaniu się kłeka.*)

Przeświętyś Aniele!

Malwina (*uderzając go ręką po czole.*)

A ty dziecko mój Stasiu. — Dzieciśmy oboje.

(*odchodzi szybko.*)

### Scena czwarta.

STANISŁAW (*sam.*)

Malwino!

(*zrywając się z ziemi.*) Tylko dzisiaj nie pękniecie skronie,  
Niech Nektar mego szczęścia aż po dno wypiję,

Ty piersi! to wspomnienie zasklep w twojem łonie,  
Niech serce póki bije, niem jedynie bije.

Boże! Na tyle szczęścia czyżem ja zasłużył?

Czyż życiem Ci odplacę, czems mnie dziś obdłużył?

Jej niema, a ja czuję jej ręki dotknięcie.

A czuję! czuję! czuję! jej wzroku głasnięcie.

Tęcza słów z jej spojrzenia w moje oczy płynie,

Spiewa, pieści, całuje i gdzieś w duszy ginie,

Łucząc się po nad życia bezduszne martwoty,

W tysięcznych barw i światel czarodziejskie sploty:

Że mi piersi pękają jak gliniane bryły,

W które płomienne fale, znagła uderzyły.

Szalony! czy to tylko nie twej myśli złuda?

Zbłąkanej wyobraźni gorączkowe cuda?

Szalony! — Może tylko w twym warjackim szale  
Łudzisz się tem, co ona nie myślała wcale.  
Może tak z wesołości słówko bez znaczenia,  
Rzuciła ci w przelocie? — Nie! — precz! precz zwątpienia!  
Ona widzi i czuje jaka burza we mnie,  
Kryłem długo przed sobą, przed nią nadaremnie,  
Bo mną miota tajemna, bezimienna władza,  
Co każdy ruch, krok, słowo i spojrzenie zdradza.  
Ona Anioł, więc w wszystkich myślach moich czyta,  
Ona tysiącrocć świętsza niż Anioł, kobieta,  
Co z dwóch zrobiła jedną duszę na nas dwoje,  
Wszak rzekła? Tak słyszałem! Dzieciśmy oboje.  
Więc już jednym jest ze mną, jak ja kocha, płonie,  
W jednej ze mną drży myśli, rozmarzeniu tonie. —  
Ufaj że serce! Ufaj! — Bolałość rozdarte,  
Dziś szalej! szalej! Niebo przed tobą otwarte,  
A w nim z różannych wschodów wykwitając łona,  
Wszystkich żyć twoich Pani, ona! — ona! — ona! —

*Koniec aktu pierwszego.*

## AKT II.

### Scena pierwsza.

*Ten sam Werandach, co w pierwszym akcie.*

PULKOWNIK, ŚWIĘTOSŁAW (*przechadzając się wychodząc z ogrodu.*)

Pułkownik.

Zamach to na ród ludzki! Kraj żyzny, bogaty,  
Naród bitny, zrosnięty, odwiecznej przeszłości,  
Właśnie gdy odrodzenia przebywał słabości,  
Za życia rozćwiartować, rozedrzeć na szmaty.

Świętosław.

Więc rzecz jasna, że Naród srodze pokrzywdzony,  
Co powalony, to wstaje do swych praw obrony,  
A mędrszy, niż Anteusz, przyłgnąwszy do matki,  
Potrójnego Alcyda niszczy sił ostatki.  
Dzielnych ludów to zwyczaj, a uczą nas dzieje,  
Że często za wytrwałość los spełnia nadzieje.

Tak powstały Batawy, tak północne Stany,  
W oczach naszych z Italii opadły kajdany.

Pułkownik.

Póki lud się nie spodli, nie ustaje opór;  
A nie zawsze go złamać zdoła miecz lub topór.  
Lecz zbieg okoliczności zwykle w takiej chwili,  
Na tę, lub ową stronę szale zwycięztw chyli.  
Biada temu, co mniema, że się zgwałcić dadzą,  
Strwożyć ich nikt nie zdoła i Cezara władzą;  
Z nich tylko, z wielkim sprytem skorzystał Niemowa\*)  
Italii, Stanom, z Francji przyszły wojska, głowa,  
Na nas jednych Bóg dotąd w rozsercu spoziera,  
A choć da przyjaciela, to niesforne dzieci,  
Gwałciem mu rękę, póki sam w przepaść nie wleci. —

Świętosław.

A czyż nam z pod Raławic nie dał bohatera?

Pułkownik.

I ja w nim cenić lubię za ludzkość szermierza,  
Lecz w wojnie trza mniej mędrka, a więcej żołnierza:  
Książę Józef miał tęższy duch, i wzrok hetmani,  
I byłby może dobił okręt do przystani,  
Gdyby złudy, matwania, zabiegi książęce,  
Kraju nie były dały, naprzód w wroże ręce.

Świętosław.

Cierpliwej wytrwałości, tej tylko potrzeba,  
A co dziś nie chcą, kiedyś dać nam muszą nieba.

\*) Wilhelm, książę Oranii, zwany milczący.



## Pułkownik.

Nie wątpię, lecz swawolnie i tak wątłe siły  
 Niszczyć, by w danej chwili całkiem odmówiły,  
 To szaleństwo mój Panie, — jeszcze, co chroń Boże,  
 Jeżeli dla cudzej sprawy użyją je może;  
 Lub zrobią z nich zabawkę jakiego wietrznika,  
 Który sam Niżnik, nigdy nie skupi Wyżnika.  
 Mówię z sercem na dłoni, dzisiejsze roboty,  
 Powodem dla mnie wielkich obaw i zgryzoty.  
 Do prostego nie trafią, zaś lepsza część ludu,  
 Rzuci się w ogień z nieba, wyczekując cudu,  
 Gdy Ludek przyzostanie — O te modły, krzyże,  
 Te mordy po ulicach, te męczeństwa świeże,  
 Nie porwą go do czynu — Bezmyślnie spogląda,  
 Od nas nic niechce — Od nich naszej zguby żąda:  
 Bo on w Ojczyźnie, tylko Ojcowiznę widzi,  
 Często zacnym pomiata, z szlachetnego szydzi.

## Świętosław.

Na to wszystko się zgadzam, lecz myślę że właśnie,  
 Trza żywić ogień, zanim całkiem nie wygaśnie,  
 Dlatego nie potępiam tych Manifestacji.

## Pułkownik.

To rok czterdziesty szósty w odmiennej postaci.

## Świętosław.

Nie Panie, do tak krwawej niedopuszczą sprawy.

## Pułkownik.

Kto ?

## Świętosław.

Ci, co całym ruchem kierują z Warszawy.

## Pułkownik.

Wzburzona namiętność, to wezbrana rzeka,  
 Wstrzymać ją, gdy rwie tamy, nie w siłach człowieka,  
 Niepokój coraz większy, w pierwszej lepszej chwili,  
 Zruci wszelki hamulec, wszelki wpływ uchyli,  
 Rozsądek sam zostanie bez siły na górze,  
 A siłę porwą w ręce krzykacze, a tchórze.  
 I znowu naszą młodzież zatracimy marnie,  
 I na lata nad nami świstnie knut bezkarnie;  
 Bo niech jak chce wróg w złości swojej się rozjada,  
 Z kroćmi pod Lancę zdatnych liczyć się wypada.  
 Pęku strzał i Samsona nieprzetraćci ramię;  
 Wystrzelane na oślepi, każde dziecko złamie.

## Świętosław.

Pułkowniku, wierzaj mi, że tak źle nie będzie,  
 Skoro życie niezbędne warunki pozyska,  
 Pewniejszą stanie droga, dziś zaiste ślizka,  
 Ariadny kłębek w dobrym teraz leży ręką,  
 A z nim po Labiryncie chodzi się bez lęku.  
 Jaskinia Minotaura już tajemnic niema,  
 Zdradą poryta, jawnie leży przed oczyma,  
 Wkrótce zwali się sama, w rudera rozleci,  
 Zostając tylko śmiesznym postrachem na dzieci. —  
 Gdybym sądził inaczej, w każdym razie, wszędzie.  
 Miasto Dawida procę na Olbrzyma imać,  
 Iżem bym stawał wszystkim, byle ruch postrzymać.

## Pułkownik.

Dziękuję ci serdecznie za pocziwe słowa,  
 Nieraz patrząc na ciebie, — To gorąca głowa,  
 Myślałem, i w mem sercu wielka była żalność,  
 Bo ci sprzyjam prawdziwie — Pierworodne dziecię,  
 Majątki, Manią, siebie, moją wszystką całość,  
 Oddałbym za Ojczyzny z pod jarzma wybicie;  
 Lecz gdyby syn me imię wiązał z taką sprawą,  
 Która dla odżywienia wciąż żywej pamięci,  
 Najlepszych ludzi zgubi, krocie żyć poświęci,  
 Za kryse na tym krzyżu (*uderzając po Legii*) uważałbym  
 krwawą.

## Świętosław.

Panie wypuść to z myśli. — Oto moja ręka,  
 Gdybym kiedy dopatrył, że ciche działanie,  
 Przerzucić się w ruch krwawy, może niespodzianie,  
 Powiedziałbym ci pierwszy, nim pora upłynie,  
 Ratuj kraj, ratuj sprawę, bo spiemy na minie.  
 (*rozmawiając, odchodzą ku ogrodowi.*)

**Scena druga.**MALWINA (*sama*)(*wychodząc z Werandy, spogląda za odchodzącymi.*)

Czemuż tak ożywiona dzisiaj ich rozmowa?  
 Ach! czy tylko Świętosław przedemną nie chowa,  
 Jakich nowych podstępów? — Co to jest szalona?  
 Obawiasz się by współnik nie podszedł ofiary,  
 Nie ziścił twe nadzieje, nie spełnił zamiary?

Cóż znaczy ten niepokój? — Cóż ta myśl strwożona?  
 Zbrodniarko! Gdy już zbrodnia dokonana prawie,  
 Czemuż drżysz w dotąd tobie nieznaney obawie?  
 Chciałaś mu serce ukraść? — Ukradłaś! — Mistrzyni!  
 Teraz śmiało przed ołtarz, co każesz, uczyni!  
 Ojciec? — Ojciec pozwoli, będziesz jego żoną,  
 Ukochaną nad wszystko, częścią otoczoną;  
 Białą kwiat pomarańczy tve czoło zdziewicy,  
 Obrączka, wieczne prawo przyzna do zdobycy,  
 Krótką chwilą bezwstydu, całą przyszłość kupisz,  
 Życie? — To sam ci odda; a majątek? Złupisz. —  
 Czemuż stajesz warjatko? — O najświętsza Pani!  
 Krórej tron na Niebiosach, bądź poręczycielką,  
 Że odkąd w moich grzechów przejrzałam otchłani,  
 Z odrazą odepchnęłam zbrodniczą myśl wszelką;  
 Że odtąd! — Odkądże to dziewico niewinna?  
 Taka czystość twej duszy, taka myśl dziecinna?  
 Taka cnota? — Ach serce milcz! milcz! ja ci każę!  
 Nawet głowie nie wydaj, co się w tobie dzieje,  
 Taki młody; być może; jeszcze go odrazę,  
 Zimnem słowem; popłaczę trochę poszaleję,  
 Ja mu zniknę. — Mężczyzna, wkrótce pamięć zgubi,  
 Godniejszą siebie pozna, pokocha, zaślubi. —  
 O w popiół czołem, w popiół, skalana grzesznico!  
 Niechaj od chwili w jego przeżytej spojrzeniu,  
 W mgnieniu oka poczętej, spelzłej w oka mgnieniu,  
 Rozgranicza się życie. — Witaj włosiennico!  
 O Matko, łaski pełna, — wszak to tve zrządzenie,  
 Rozbudziło z Letargu, me spiące sumienie,  
 Więc Matko, łaski pełna, Ty pokrzep me siły,  
 By na pierwszą pokutę, — ach wielką starczyły.  
 Tylko Matko, zrób, niech on nigdy nie zobaczy,

Czem była, co mu w myśli stała Idealem,  
 Niech mi w gniewie złorzeczy, przeklina w rozpacz,  
 Tylko Pani tej duszy nie zbródź moim kałem.

### Scena trzecia.

MALWINA — STANISŁAW.

*(ujrzawszy nadchodzącego, Malwina chciała odejść, on ją za rękę zatrzymał.)*

Stanisław.

Ach zlituj się Malwino, od trzech dni szaleję,  
 A ty jakby z umysłu.

Malwina *(odbierając rękę.)*

Panie Stanisławie!

Stanisław.

Na Boga co to znaczy, co z tobą się dzieje,  
 Unikasz mnie — chcesz odejść, a ja konam prawie;  
 Wskazałaś mi na chwilę Niebo, Raj, otwarty,  
 I o tej chwili już się zapomniała może.

Malwina.

Ach jakże Pan Stanisław nieznaczące żarty.  
 Może brać tak do serca?

Stanisław.

Co mówisz? mój Boże:  
 Więc to żart był? — Więc żartem rozdarłaś mi duszę,

I niby podłą szmatę rzuciła na śmiecie?  
Bądź zdrowa.

Malwina..

Stój! bo ja się wytłumaczyć muszę,  
Niedoświadczony, jeszcześ jak obcy na świecie,  
Gorąca młodość, oczy czaruje, zasłania,  
Nie wiesz, że są w pożyciu chwile roztrzepania,  
Porywy wesołości, słowa bez znaczenia,  
Dane bez żadnej myśli, jęte bez wrażenia;  
Które jak spadające ciemnem niebem gwiazdy,  
Błyszczą nie zostawiając śladu błędnej jazdy.

Stanisław.

Wiem Pani, że na świecie ludzie uczuciami,  
Rzucać do siebie zwykli, jak dzieci piłkami.  
Słyszałem, że kobiety dziwnym obyczajem,  
Lubią zwyciężać, nęcąc niedostępnym Rajem.  
Panią nieposądzałem.

Malwina.

Wyjątkiemż na świecie?  
Wszakżem także kobietą?

Stanisław (*jakby usłyszał coś niespodzianego*)

Jakto? Ty kobietą?

Pani kobietą? Pani?

Malwina (*zdziwiona*.)

Czemże, — powiedz przecie?

Stanisław *(ze smutkiem.)*

Dziś widzę, Paniś w piękność kobiece owitą,  
 Pierwej, o przysięgami ci, z ziemiś nic nie miała,  
 I na myśl mi nie przyszło, żeś ty także z ciała. —  
 Czem jesteś? w owej chwili raz ci powiedziałem,  
 Dziś powtórzyć niemogę; przebacz, — zapomniałem.

Malwina.

Mój młody przyjacielu, to niedobre słowa,  
 Ocknij się, ja o wszystkim zapomnąć gotowa,  
 Pomnij od trzech lat przeszło jak tu u was bawię,

Stanisław *(przerrywając.)*

U was? — A dawniej u nas byłaś mówić zwykła,  
 Widzę dla nas obojga dzisiaj pamięć znikła.

Malwina.

Ach jakieżś niedobry Panie Stanisławie!  
 Więc odkąd jestem z Wami, czy był gdzie dom drugi?  
 Jak nasz, wesół, spokojny, rzekłabym szczęśliwy?  
 Czy był wieczór niekrótki; czy był dzień zadługi?  
 Czyż życie nie płynęło, jak sen, gdy uroczy,  
 Z lepszych światów obrazy sunie po pod oczy?  
 I Pan chcesz wspólne dobro? ten nasz Raj prawdziwy,  
 Który raz utracony nigdy już nie wróci,  
 I w piekło się domowe niechybnie przerzuci,  
 Zmącić, zburzyć na zawsze gorączkowym szalem?

Stanisław.

Pani! cóżem ja winien że ciebie poznałem?  
 Przed tobą żyłem życiem bezmyślnem, beczynnem

Spłynęłaś, a powietrzem odetchnąłem innym,  
 Cały świat mi się wydał zamienion w cudniejszy,  
 Każdy pokój w weselszy, każdy dzień w piękniejszy.

Malwina (*rozmarzona, jakby do siebie.*)

Dziecko!

Stanisław.

Spłynęłaś, pomnę o samym wieczorze,  
 Wieczór był bardzo ciemny, deszcz padał na dworze,  
 Ale gdym na Werandę po herbacie wkroczył,  
 Zdało mi się że księżyc w pełni się roztoczył.  
 Tak mi w oczach jaśniało, deszcz pachniał, wiatr spiewał,  
 Jakiś dziwnie łagodny, ogień mnie ogrzewał,

Malwina.

Dziecko!

Stanisław.

Odtąd, gdym wchodził, — sam nie wiedząc czego  
 Zaraz okiem szukałem stoliczka twojego,  
 Gdys była, byłem kontent, nie byłaś, smutniałem,  
 I milcząc, godzinami na twe drzwi patrzałem,  
 Na szelest twojej sukni, posadzki skrzypnięcie,  
 Serce drżało, wzrok w dziwnym błąkał się zamęcie,  
 Żeś nieraz już w pokoju mówiła — słyszałem  
 A ujrzyć cię nie mogłem, bo spojrzeć nie śmiałem.

Malwina (*chcąc przerwać.*)

Stanisławie! to serca z dzieciństwa zbudzenie,  
 To złuda, lecz choć złuda, dręczy nieskończenie,  
 Pieszcząc truje.



Stanisław (*niezważając na przerwanie.*)

Gdym z ojcem wyjechał do Lwowa,  
Byłem, jakby mi tutaj została połowa,  
I tęskniłem za domem; a kiedym powrócił,  
Po pierwszym przywitaniu zarazem się smucił,  
Bo chociaż jeszcze wtedy nie rozumiał siebie,  
Pani! już mnie przy Tobie, brakowało Ciebie.

Malwina.

Ach na pamięć twej Matki, mówmy o czem inném,  
Ty zakrwawiasz twe serce uporem dziecinnym,  
Ty sam siebie rozmarzasz takimi myślami;  
Śniesz na jawie, i swemi upajasz się snami;  
A potem tym mamidłom, chcąc dać kształty żywe,  
Goniąc za szczęściem, pędzisz w nieszczęście straszliwe.

Stanisław.

Pani sama wskrzesiłaś lata upłynione,  
Czy chcesz, czy nie chcesz, dzisiaj zedrę z nich zasłonę.

Malwina.

Ach przestań!

Stanisław.

Tak w śnie duszy, bezwiednie poczęte,  
Razem ze mną wzrastało to uczucie święte,  
A choć dopiero później, już się przytrafiło,  
Że mi jak błyskawicą sercem przeleciało,  
I w oczach mi już dniało, jak kiedy przed świtem,  
Rannej zorzy promyki migają błękitem. —  
Bo wkrótce mojem wszystkim stałaś się na ziemi,



Na wszystkim już się patrzył oczami twojemi,  
 Com chciał od kogo, tylko przez ciebie prosiłem,  
 Com gdzie znalazł twójego, na sercu nosiłem;  
 I był bym zdaje mi się w tem spokojnem szczęściu,  
 Mógł żyć lata; gdyby raz ojciec o zameżciu,  
 Dla ciebie pożądanem nie był trącił w żarcie.

Malwina.

To zazdrość! Ach ta jędza gdzie ta się zakradnie,  
 Serce chociażby ślepe zaraz się odgadnie.

Stanisław.

O Pani! po tej chwili — dziś mówię otwarcie,  
 Raz pierwszy czuć zacząłem wszystkie męki piekła,  
 Bo raz pierwszy, że możesz zniknąć zrozumiałem,  
 I jakbyś już zniknęła, rozpaczym drgnął szalem.  
 Żal za tobą mnie nękał, gryzła zazdrość wściekła,  
 Żem dnie całe szalejąc po lasach się chował,  
 Noce całe gryzł pościel, słochał i warjował.  
 A za tobom nie szukał, bo już miałem własną,  
 Ciebie w duszy, od ciebie nie mniej światłą, jasną.

Malwina.

O tamtą, tamtą kochaj, bo tamta prawdziwa,  
 A ta *(urywa niesmąc dokończyć.)*

Stanisław.

Tamta mnie kocha, ale ta porywa.  
 Bez obu byłbym zginał — jedną z was postradać,  
 Było serce rozdrzeć, a duszy śmierć zadać.  
 Bo już wtedy jak dzisiaj byłaś mojem światem.

Malwina (*blagając.*)

Stasiu!

Stanisław.

Mej duszy światłem, mego życia kwiatem:  
Bom już wtedy czuł jasno, że żyć, a bez ciebie,  
To żyć w zabitej trumnie, na własnym pogrzebie.

Malwina (*z rozpaczą.*)

Stasiu!

Stanisław.

Bom czuł, że każde mego serca drżenie,  
Mojej myśli pieszczota, mej duszy pragnienie,  
Tylko ty! i ty jedna.

Malwina.

Ach Stasiu litości!

Mnie słabo, w oczach ciemno, w głowie mi się kręci.

Stanisław.

Bom czuł, że za sekundę jedną wzajemności,  
Dałbym życie, (*całując ją*) że kocham ciebie bez pamięci

Malwina.

Stasiu, ja ginę! — zginę, lecz twoją nie będę! —  
(*wyrywa się i ucieka ku ogrodowi, staje, wraca i porwawszy Stanisława za rękę, wprowadza go do zamku.*)

Stasiu, Świętosław idzie! uchodź, niech nas razem,  
Niedojrzy. — Przepadłabym.

Stanisław.

Nie kryj się kochanie!

Bóg widział, — Bóg nas złączył, któż rozłączyć wstanie!

## Scena czwarta.

(Malwina wyprowadziwszy Stanisława, wraca naprzód sceny.)

Malwina.

Pani ratuj! — Bez Ciebie zkaǳe sił zdobęde?  
 Jakimże duszę w kamień zażegnam rozkazem?  
 Teraz Czorcie kobieto, pokaż żeś Mistrzyni!  
 Zgaś oczy, zgaś na licach szalone płomienie,  
 Sercu tłuc się nie pozwól — wszakże to zbawienie  
 Twego Stasia w twem ręku? — O czuję że czyni,  
 Wola swoją powinność — dziś zwyciężyć muszę;  
 Znam go, wszystkie sprężyny napręzę, poruszę.  
 Uciekać, Ach uciekać! bom ja drzewo żmyja\*)  
 Co liściem, kwiatem, cieniem, oddechem zabija.  
 Precz podła nieśmiałości! precz fałszywy wstyǳie!  
 Gdy o moje najdroższe, o najświętsze idzie,  
 Upaść już mi nie wolno; — czyż w krwawej ofiarze,  
 Sama siebie nie niosę, zabijać niekażę? —

## Scena piąta.

MALWINA, ŚWIĘTOSŁAW (nadhodzący z ogrodu.)

Malwina.

Z kąǳ idziesz Świętosłasiu?

Świętosław.

Z kąǳ? Ładne pytanie.

Cały ogród wzdwojonym jak on mówi, kroku,

\*) Drzewo Upas.

Trzy razy zmierzyć, wierz mi, nie ławę zadanie;  
Per Baccho! śliczna Cypris, twe skrzydlate dziecię,  
Hermesa trudy musi opłacić sownie.

Malwina.

Biedna ofiaro, siadaj spocznij przy mym boku,  
Posłanek Bogów, z córek ziemi strzępczyciela,  
Umiał w zazdrośnych Bogiń, zmieniać się mściciela,  
Lecz na piękną nagrodę musiał milcząc czekać;  
Więc zacnij od spowiedzi, a przestań narzekać,  
Powiedz mi, mówiliście o Stasiu, czy Mani?

Świętosław.

Heu Jove! My żołnierze psuć czas płochostkami?  
Austerlitz, Drezno, Moskwa — tak tak moja Pani  
Wszędzie byliśmy, wszędzie szli Echelonami,  
Bru! Aż dudni mi w uszach — ale śliczna Kasiu,  
Od trzech dni milczysz, powiedz że mi co o Stasiu.

Malwina (*obojętnie.*)

Mimo najlepszych chęci powiem bardzo mało,  
Ot, że jakoś Paniątko nasze pochłodziło,  
Nie szuka za mną, słów mych nie łapie tak cheiwie.

Świętosław.

O! —

Malwina.

Sama się tej zmianie coraz mocniej dziwię.

Świętosław.

Calypso, to twa wina! — Zanadtoś ostrożna,  
A z takim Telemakiem drożyć się nie można.

On nie śmiały, ty znowu nie jesteś dość tkliwą,  
 Nadto dobrze artystko, udajesz cnotliwą,  
 Nie ośmielasz młokosa; a czas jak wiatr goni,  
 Zapominasz Rybeńko, że Time, to, is money,  
 A sposobność ma skrzydła.

Malwina.

Wierz mi, takie rzeczy,  
 Kobiety od was lepiej i zgrabniej prowadzą,  
 Jaśniej w sercach czytają, unieść się nie dadzą;  
 I ja trzeźwiej od ciebie, sądzę położonie,  
 Jego myśli przenikam a uczucia cenię.

Świętosław.

Żeś sprytna moja Lubciu, któż temu zaprzeczy?  
 Tylko pamiętaj zawsze, że to nie mężczyzna,  
 Lecz chłopiec — a nim taki Ragazo się przyzna  
 Że skrył w piersiach Vesuviusz, nie dość podbić duszę,  
 Nie starczy opanować, to co już w nim żyje,  
 Trzeba zmysły rozchełznać, w nieład je potraćić,  
 Myśl rozognić, krew zburzyć, uczucia zamącić,  
 A Ślepowron bezwiednie truciznę wypije,  
 I wyrzuty sumienia, Mazgaj udręczony,  
 Straszna zbrodnią nastraszon, klęknie w czulej skrusze,  
 Miasto u stóp kochanki, u nóg przyszłej żony. —  
 Wtedy z Charybdy w Scylle nieznośnie miotany,  
 Sam o ślub błagać będzie. —

Malwina.

Mój Mistrzu kochany,  
 Żeś wcale niezazdrośny, to ci przyznać muszę.

Świętosław.

Cóż robić? Wszystko dobre, co wiedzie do celu!

Malwina.

Porzućmy raz te zarty; słuchaj marzycielu,  
 Stawiasz zamki na lodzie, w zagorzałym szale,  
 Co tam ze mną się dzieje, nie pytając wcale.  
 A ja ci wyznam, że mnie strasznie dręczy sprawa,  
 Co na rozczarowanie bolesne zakrwawa:  
 I zawód, który czoło rumieńcem okryje,  
 A ciebie Mistrzu Mistrzów, śmiesznością zabije.  
 Przez szkło zaczarowane na wszystko spoglądasz,  
 Szalejesz, — a odemnie, biednej cudów żądasz.

Świętosław.

Cudów żądam! — Cel wielki rodzi cudów żądze,  
 Wszak Szymon\*) cudów władzę, kupczył za pieniądze.  
 Tu, niebyłby tak trudnym, jak ci się wydaje,  
 Gdzie młodość u stóp wdzięku, tam cud sam się staje.

Malwina.

Znowu marzysz! — On tylko czasami zapala  
 I gaśnie — w nim krew zimna, namiętność mała.

Świętosław.

Co mówisz? On ma siarkę, ogień, płomień w żyłach,  
 Kasiuniu, jeśli przy nim wątpisz o twych siłach,  
 I o twojej potędze, to Cię niepoznaje.

Malwina.

Brak sympatji mnie ziębi, chęci niedostaje,  
 I zbyt znudzoną jestem.

---

\*) Maga.

Świętosław.

Warto się ponudzić.

Malwina.

To dłużej niepodobna -- Aktorka na scenie,  
 Kilka godzin ma tylko swą publiczność ludzić;  
 Przecież nieraz przed końcem sztuki z sił opada,  
 A ja, która mam każde obliczać spojrzenie,  
 Zanim usta otworzę, myśleć, co wypada  
 Powiedzieć, co zamilczeć, i to od lat wielu,  
 Czyż nie mam prawa rzec ci; stary przyjacielu,  
 Jestem zbitą, znudzoną nie wytrzymam dłużej?

Świętosław.

Czy mniemasz, że mnie także to wszystko nie nuży?  
 Że mi to bardzo miło, iż twoje ślicznoty  
 Muszą iść po Zakonie cichej skromnej cnoty?  
 Lecz ja mam ciągle w myśli — nęka każda praca,  
 Rzadko która tak hojnie jak nasza popłaca,  
 Trza wytrwać, — za to kiedyś odpoczniemy błogo  
 Tylko ty się nie zrażaj moja Rybciu drogo!  
 Rubicon tuż przed nami, wróżby nam sprzyjają,  
 Z lewego łęca ptaki, kurczęta śniadają.\*)

Malwina.

Mylisz się, a twój upor nigdzie nie prowadzi,  
 Z nią zerwać ja ci radzę, z nim rozsądek radzi,  
 Dramat nasz miał rys dobry, lecz dziś iść się wzbrania,  
 Spalmy go, — upaść musi, — nie ma rozwiązania. —

\*) Podług rzymskich Augurów najlepszej wróżby.



Oddalmy się. Gdy jeszcze wolno nam tu zostać,  
Dopóki nas szyderstwem nikt nie może schłostać.

Świętosław.

Radzisz mi ją porzucić — niewidzę przyczyny?  
Zmienne jak woda, serce — ty to wiesz — dziewczyny,  
Wszakęś się sama później przyznała wyraźnie  
Że do mnie wstąpił cię trapił i dziwne bojaźnie.  
Przekonasz się, to samo będzie z dziką Manią,  
Małpeczka się ugłaska, przyjdzie czas i na nią.

Malwina.

Niewdzięczny! Jak ty zimno przypominasz chwile?  
które mi drogich wspomnień zostawiły tyle;  
Wróc mi je! wróc mi szczęście!

Świętosław.

Wrócę ci go, wrócę!

Dla wspólnych tylko celów tak często się smucę.

Malwina (*podając mu rękę.*)

O tyś dobry, ty tylko dręczysz mnie bo błądzisz  
Zbyt namiejętnie ludzi, świat, zdarzenia sądzisz,  
Ale ja wiem, że w sercu jeszcze masz coś dla mnie,  
Bo czujesz, że cię kocham, a kocham niekłamnie,  
Usłuchaj mnie raz w życiu; kobiety czasami,  
Przeczuciem bliższe prawdy, niż wy rozumami;  
Użyjmy trochę świata; gdzie w jakiej odludzie,  
Odpocznijmy po pracy i nieznośnej nudzie;  
Mówią że świat prześliczny, nad jakim jeziorem,  
Szwajcarskim albo Włoskim rozbijmy namioty,  
Sam częstoś chwalił moje w pożyciu przymioty,

Żem łatwa, jednostajna; o, dla ciebie wzorem,  
 Stanę się żón - kochanek. Złota dosyć mamy,  
 Gdyby cię odlud znudził, w Neapolu, Rzymie,  
 Ty lubisz Sztuki, więc ich pomniki olbrzymie,  
 Colisea, Iglice, tryumfalne bramy,  
 Rozerwą cię; — Lub wiesz co, jeżeli ci się zechce  
 Używać! — Paryż myśli twojej czyż nie lechce?  
 Ja na wszystko się zgodzę, a zawsze i wszędzie,  
 Twa kochanka, twą wierną towarzyszką będzie.

Świętosław.

Cyrceo! — Gdybyś jego raz tak zczarowała,  
 Ja niechybnie bym Manię, ty Stasia byś miała.  
 I żyli byśmy sobie na własnym Dębowie,  
 Weselej, niż gdzieś w jakimś Szwajcarskim parowie.  
 A jeżeli ci chodzi o lodowce, skały,  
 Krajobrazów Szwajcarskich, zapiszę zbiór cały.

Malwina.

O co w tę głowę wjedzie, nie wybiję klinem.

Świętosław.

Kasiuniu, twoją miłość dowiedz mi raz czynem,  
 Zwalcz nudę, niech ubóstwia twoje boskie wdzięki,  
 I u nóżek twych złoży ofiarę swej ręki.

Malwina (*nieśmiało*.)

A jakbym nie przyjęła?

Świętosław.

To znowu dlaczego?

Malwina.

A gdybym też przypadkiem kochając innego,  
Wierności mu nie chciała złamać, za nic w świecie?

Świętosław.

Kogoż? Może puszczyka na zamkowej wieży?

Malwina (*z przymleniem.*)

Skromnisiu! A do kogoż me serce należy?

Świętosław (*śmiejąc się.*)

Cho! Cho! Cho! Co tam znowu moje dziewczę plecie?  
Kochasz mnie? Wiem, wiem dobrze, — pozwalam się lubić,  
(*żegnając, jak ksiądz po spowiedzi.*)

Sed ego te absolvo! możesz go poślubić,  
Przez to...

Malwina (*przerwijąc.*)

Lecz roztrzepany mój ty Świętosławie,  
Ojca z twego rachunku wykreślasz łaskawie.

Świętosław.

O za tego ja ręczę, choc Szłaga zakuta,  
Dla ciebie Czarodziejko milczy jego buta.  
Połknie haczyk z robaczkiem.

Malwina (*zniecierpliwiona.*)

Nie! — nadtom znudzoną  
I zbrzydły mi już twoje podstępne rachuby;  
W obliczu Boga jestem! jestem! twoją żoną,  
I nie masz prawa inne narzucać mi śluby.

Świętosław (z gniewem.)

Rybciu znasz mnie! cierpliwym i rzecz każdą ważę;  
Lecz jak raz powiem każe! to nie żartem każe.

Malwina.

W tem nigdy nie posłucham!

Świętosław.

Rybciu, diabła kuszysz,  
Twoja dusza w mem ręku.

Malwina.

Choć trochę litości!

Świętosław.

Ja żądam posłuszeństwa, nie żadnych czułości.  
Mnie kazać, tobie słuchać, poślubić go musisz. —  
Jeżeli mój zamiar ma się o twój upor złamać,  
Wolę go sam roztrzaskać, niż przed sobą skłamać.  
Od dziś dnia w moje ręce obejmuję wodze,  
Biada ci, gdybyś śmiała stawać mi na drodze,  
Wybór tobie zostawiam — wdzięcz się, choć na krzyżu,  
Lub Rybciu! staniesz wśród nich, naga na pręgierzu,  
Gdy twoją piękną przeszłość cisnę im pod nogi.

Malwina (z rozpaczą.)

Panie, czyżes istotnie tak straszny, tak srogi?  
Wziąłeś mnie i na wieczne skazawszy męczeństwo,  
Czoło niegdyś tak czyste, dziś napiętnowane,  
Pod Matki konającej rzuciłeś przekleństwo;  
Przebaczę wszystko, twoją na wieki zostanę,

Tylko dziś duszy mojej pozwól się obronić,  
 Tylko dziś, przed rozpaczą pozwól ją zasłonić,  
 A litość, całym życiem mojem ci odplacę.

Świętosław.

Twe życie i tak mojem, tem mnie nie przekupisz,  
 Jestem nim, więc mam prawo być twej duszy Panem,  
 Wykupić ci ją nie dam bezcennym Liczmanem,  
 Ni dla twych głupich dziwactw Dębowa nie stracę.

Malwina.

Na Boga, jakąż sprawą chcesz przyjść do Dębowa?

Świętosław.

Ty go sama Rybeńko białą rączką złupisz,  
 Coś zaczęła, ja skończę, wtem już moja głowa,  
 Hop! Hop! wabcze na sznurku, w płasy, w zalecanki,  
 Jak samotrzask zapadnie, ja wystąpię w szranki.

Malwina (*padając na kolana.*)

O zabijże mnie pierwej.

Świętosław (*odpychając ją.*)

Życ i słuhać musisz! (*odchodzi.*)

Malwina (*klęcząc.*)

Tak! — Musisz! — Musisz! — Musisz! — Niech więc się raz  
 stanie!

Ty przebaczysz mi Ojczy! Ty mnie przyjmiesz Panie!

Ty wiesz, że gdy już duszę bolem zwyciężono,

Ona jak ptak na gniazdo, pada na twe łono. —

*Koniec aktu drugiego.*

## AKT III.

### Scena pierwsza.

*Ten sam Werandach co w poprzednich aktach.*

PULKOWNIK, ŚWIĘTOSŁAW.

Pułkownik.

Z jasnego nieba piorun, — czy to rzecz spodziana?  
By ona, z każdą tonią Wisły obeznana,  
A zgrabniuchna do wiosła, że nieraz czołnami,  
Szła z wami na wyścigi i była przed wami,  
Na niskiej wodzie, w topiel z czołnem się uniosła,  
Jak żeby nigdy w rękę nie trzymała wiosła.

Świętosław.

Kobiety mają chętkę większą, niż my prawie,  
Niebezpieczeństwu w oczy, zaglądnąć ciekawie,  
To je drażni, pociąga i jak émy nad świecą,  
Krażą koło niej, póki w sam płomień nie wleczą.

## Pułkownik.

Z wielką niecierpliwością czekam dziś na Manię,  
 By usłyszeć, co lekarz mówi o jej stanie,  
 Wczoraj gdy ją Staś przyniósł, była już bez życia,  
 Bez oddechu, bez ciepła, bez w tętnach zabicia. —  
 Na polu nie raz trupów widziałem setkami,  
 Poszarpanych kartaczem, podartych kulami,  
 I znosiłem dość zimno taki widok smutny,  
 Ale wczoraj, gdym ujrzał miluchne stworzenie,  
 Pasujące się z śmiercią, żal mnie jał okrótny  
 I nawet megom Stasia nie dostrzegł omdlenie.

## Świętosław.

Puki żaden znak życia, nie dał się wysledzić,  
 Z największą przytomnością ratować pomagał,  
 Dotknąć nie dał nikomu, jak by jeden wiedzieć  
 Mógł tylko, co trza robić, — aż gdy się już wzmagał,  
 Oddech, i oczy zwolna zaczęły otwierać,  
 Spojrzał, krzyknął — i upadł, jakby miał umierać.

## Pułkownik.

Pojmuję że tak uległ pod wrażen nawałem,  
 Ja twardy, a czas długi, jak z kamienia stałem.

## Świętosław.

Jednakże taki widok myśl i oczy pęta,  
 Nie mogłem ich oderwać od tego obrazu,  
 Tak silnym mnie urokiem zczarował od razu.  
 Ona z marmuru kuta Galatea cudna,  
 Ozywająca Mistrza upały dotknięta;  
 On Pigmalion,

Pułkownik.

Zagadka ni nowa, ni trudna.

I wszystko mi się zdaje....

Świętosław (*podchwytyjąc.*)

Co chcesz mówić Panie?

Pułkownik.

Że w tej mierze zupełnie jedno mamy zdanie;  
Młodzi, więc im się z prawa szczęście przynależy,  
Szczęśliwi, że choć ślepe prosto ku nim bieży.

Świętosław.

Czyż Panie, byłbyś kontent, z takiego wyboru?

Pułkownik.

Upredzając me chęci, nie znajdują oporu. —

## **Scena druga.**

CIŻ SAMI, MANIA.

Mania.

Ojczy! dobra wiadomość, o swej własnej sile,  
Nasza droga już wstała — Ócz nic nie zasłania,  
Więc ją tutaj na krzesła przytoczą za chwilę.

Pułkownik.

Czy nie zawcześnie duszko?

Mania.

O lekarz nie wzbrania.



## Pułkownik.

Maniu ty byłaś świadkiem, powiedz co się stało?  
Z tego, com w gwarze słyszał, rozumiałem mało!

## Mania.

Ot powiem Papie szczerze, — Malwina od rana,  
Chodziła jakaś smutna, wyraźnie znękana,  
Wieczorem uprosiłam przechadzkę daleką,  
A gdyśmy dość znużone usiadły nad rzeką,  
Tam gdzie jej czołno stoje przypięte do drzewa,  
Zcałowała mnie w czoło wstając, i jak strzała,  
Skoczyła w czołno, że aż woda zapluskiała.  
Mnie od razu się zdało, że wiosło omdlewa,  
I błagałam w przestרחu, by dobiła brzegu,  
Lecz czołno szło za prądem, w niewstrzymanym biegu,  
I wkrótce, na najgłębszą zaniosłszy ją tonie,  
Zadrzało, niby żywe, a ku jednej stronie,  
Przechybnąwszy się, próżne uniosło się dalej,  
A Malwinia mi z oczów znikła w pośród fali. —

## Pułkownik.

Cóż ty?

## Mania.

Wołałam w trwodze — lecz nigdzie nikogo,  
Nie było. — Aż w tem nagle zatętniło drogą,  
Staś przypadł. — Z całej piersi zakrzyknął — spał konia,  
Skoczył w Wisłę, i płynął, gdzie jej chustka mała  
Kręcąc się w wirze, jeszcze czasami bielala.  
Przy niej, zsunął się z siodła, pod wodę zanurzył,  
Koń spłynął, a nad niemi zamknęła się tonia.

Trzy razy bez niej wracał, by odetchnąć chwilę,  
 Za czwartym, prąd się wstrzymał, zapienił, zaburzył,  
 A on już z nią wypłynął, — na brzegu uchyle,  
 Doniósł, porwał na ręce, i z martwym jej ciałem,  
 Leciał, jakby miał skrzydła, aż tu jednym cwałem.

Świętosław.

Panna Marja maluje, a nie opowiada,  
 Myśl z myślą, niby w śliczną Mozaikę się składa,  
 Którą Mistrz jakiś rzymski, z szlachetnych kamieni  
 Ułożył w kształty, ciała, pełne światła cieni. —

Mania.

Ach Panie, mnie się zdaje, że póki żyć będę,  
 Tak straszego obrazu, z ócz się nie pozbędę,  
 Widziałam, że Staś ginie, że Malwinia ginie,  
 Bo czułam, że on bez niej pewnie nie wypłynie,  
 I rwało mnie pod wodę, by te trwogi skończyć,  
 Zamknąć oczy, i z niemi na wieki się złączyć.

Pułkownik.

Nieszczęśliwa dziewczyno, czyż ojciec ci niczem?

Mania.

Ojcze!

Pułkownik.

Z podobnych myśli kiedyś się obliczem.

Świętosław.

Gdybym mógł się spodziewać tak pięknej nadgrody,  
 Jak żal Pani, bez skargi skoczyłbym do wody.

Mania.

Tak, byle woda była pływutka, cieplutka,  
Słońce jasne, brzeg blizki, a kąpielka krótka.

Świętosław.

Pani wszystko do twarzy, i szyderstwo same.

Pułkownik.

Tym dziecinny przycinkom połóżcie raz tamę,  
Malwinę ku nam toczą — jakże jeszcze blada,  
Powieka na przygasłe spojrzenia opada.

Mania.

Lekarz twierdzi, że jakiś wielki ból doznany,  
Zwyciężył ją zupełnie — i że nawet życie  
W niebezpieczeństwie, jeżeli spokój nieprzerwany,  
Nie ułagodzi duszy, tajemne cierpienie,  
Które ją ciągle dręczy, i minując skrycie,  
Wszelkie siły jej trawi. —

Świętosław.

Nie głupstwoż sumienie?  
Przysiągłbym, że ta kąpiel nie tak przypadkowa,  
Baczymy, czy pod kamieniem węgorz się nie chowa?

### Scena trzecia.

CIŻ SAMI, MALWINA (*wytoczoną na krzesle, zostawiają na przodzie sceny.*)

Malwina.

Ach jakże tu przyjemnie! — ciepło, — słońce świeci,  
Oddycha się tak dobrze, — tak ustają dreszcze,  
Że w tym świetle, w tem ciepłe żyłoby się jeszcze.

## Pułkownik.

Witaj nam Odzyskana! — wielkimi obawy,  
 Napęłniłaś nas wczoraj; ale Bóg łaskawy,  
 W miłosierdziu, oddał mi jedno z moich dzieci,  
 Bo od wczoraj dopiero zrozumiałem jasno,  
 Że cię kocham Malwino, jakby córkę własną.

Malwina (*chcąc go pocałować w rękę.*)

O Panie, twej szlachetnej nie odmawiaj ręki,  
 Po Bogu niech jej złożę moje pierwsze dzięki.

Świętosław (*na stronie.*)

Artystka się w niej budzi, skutkuje nauka,  
 Ku rozwiązaniu dąży szybkim krokiem sztuka.

## Pułkownik.

O Bogu wszyscy dzięki składajmy w pokorze,  
 On jeden w takich chwilach, podać rękę może.  
 A w tym razie widoczna nad nami opieka,  
 Na pół mili w około nie było człowieka,  
 Bog jeden mógł przypadkiem Stasia tam sprowadzić,  
 I na konia dobrego pływacza, posadzić,  
 I na wirze zatrzymać chusteczkę tak małą,  
 To wszystko prawie cudem nazwać by się dało.

Mania.

Ojczy, cud pewnie, jam go widziała tak z bliska,  
 A innego nań znaleźć nie mogę nazwiska,  
 Bo i potem, — skąd siła, nieść ją tu od Wisły?  
 I znowu gdyśmy wszyscy potracili zmysły,  
 Z kąd jemu w mgnieniu oka zmienić się w lekarza?

## Pułkownik.

To prawda, sam patrzyłem zdziwiony nie mało,  
Jak on krew puszczał z ręki.

## Świętosław.

Często się wydarza,  
W wielkich niebezpieczeństwach, że człowiek coś zrobi,  
Do czego go nauka wcale nie sposobi.

## Mania.

Pan Świętosław tak rzeczy dokładnie tłumaczy,  
Że wszystko urok traci, czego dotknąć raczy.  
O mój Staś! Jeżelim go kochała serdecznie,  
Dziś serdeczniej go Kocham, bo uwielbiać muszę.

## Pułkownik.

On nam wrócił Malwinę.

Świętosław (*głośno.*)

Jej zbawca bezprzecznie. —  
(*na stronie.*) Wyrównać jej w obłudzie napróżno się kuszę  
Niby statua w kamienne milczenie zaklęta,  
Siedzi z puszczoneń okiem, jak martwa, lub święta.

## Malwina.

Moji drodzy, nie dzisiaj biedna moja głowa,  
Odpowie wam na dobre i pocziwe słowa,  
Czytajcie w mojem sercu, oszczędźcie mu zwierzeń,  
Tyle dla was w nim uczuć, ile w nim uderzeń. —

## Scena czwarta.

CIŻ SAMI, STANISŁAW.

*(podczas mowy Malwiny, Stanisław wszedł cicho, i stanął koło jej krzesła.)*

Stanisław.

Ach jaka Pani jeszcze zdaje się cierpiąca?  
Wzrok smutny, pognębiony, mowa jakaś drżąca.

Mania.

*(Gdy Malwina ujrzawszy Stanisława zakryła rękami oczy.)*

Słońce cię razi duszko, w same oczy prawie,  
Możebyś parasolkę lub kapelusz wzięła.

Malwina.

*(Odkrywając oczy i podając rękę Stanisławowi.)*

Dałeś mi drugie życie — dokończ swego dzieła,  
Dokończysz, — Wszak dokończysz Panie Stanisławie!

*(gdy tenże milczy, ciszej)*

O nie wahaj się, pomnij me ostatnie słowa,  
Wszak czujesz że ja życie za cię dać gotowa,  
Gdyby. — O przyjacielu! Ręka przeznaczenia  
Cięży na mnie, i w wieczną niewolnicę zmienia.

Stanisław *(cicho.)*

Kochanko! Takie straszne niepewności znosić,  
W minucie, serce ludzi nadzieją zbawienia,  
A w drugiej go zanurzać w rozpaczę zwątpienia,  
To więcej niżli serce wytrzymać już może,  
Więc u świętych twych nóżek błagam cię w pokorze,

Gwiazdeczko życia mego daj się raz uprosić. —

*(Gdy Malwina milczy, głośno)*

Gdy nic cię nie ubłaga, gdy zamknięta w sobie,

Naszą rozpaczą żyjesz, lubujesz w żałobie,

Więc dzisiaj śmierć lub życie *(zwracając się do ojca)* Ojczy  
mój! ja ginę

Ratuj mnie — bom ukochał nad wszystko Malwinę,

A zrozumieć nie mogę.

Pułkownik.

Co ty mówisz dziecię?

Stanisław.

Ojczy! ja za pewności jakiej bądź zdobycie,

Dałbym duszę — w tej chwili, chciałbym świat mieć  
świadkiem,

Że życie me pod nogi składam jej zadatkem

Przyszłości. — Ojczy! Ojczy! Przemów za mną do niej,

Może ciebie wysłucha, tobie myśl odsłoni,

Bo ona zwykle szczerza, przejrzysta jak diament,

Dziś milczy, lub w sprzeczności pogrąża mnie zament.

Pułkownik *(przystępując do Malwiny)*

Malwino ja przychodzę z żołnierską szczerością,

Powiedzieć, Staś cię kocha uczciwą miłością,

Wiedziałem o tem pierwej i cieszyłem skrycie;

Boś ty żoną, jaką bym rad mu dał na życie.

Córkąś mi w sercu dawno, bądź nią raz dla świata.

Mania.

Malwiniu! luba, droga, kochaj mego brata,

On dobry, a ja tak się będę cieszyć szczerze,

Że mi ciebie lub jego już nikt nie zabierze. —

## Malwina.

O Święci! Czemże wasze uznam życzliwości?  
 Czem odpłacę, za takie pocziwe miłości?  
 Lecz sami zważcie tylko — nie mam nic na świecie,  
 Ni wiana, ni rodziny, ni nawet nazwiska,  
 Wędrownam najemnica, bez dachu ogniska. —  
 I wyż taką tułaczkę w rodzinę brać chcecie?  
 Stasia świat całkiem inny, innej trza mu żony;  
 Ojczy, i tyś słabością dla mnie uwiedziony,  
 Wierzcie mi, że ja bardzo Stanisława lubię  
 Ale właśnie dla tego nie zgubie -- nie zgubię!

## Świętosław (na stronie.)

Tu przesadzać zaczyna (głośno.) Śmiem przypomnąć Pani,  
 Że zbytnią skromność często bezpotrzebnie rani,  
 Z niebianką której miejsce w wielkich Bogiń rzedzie  
 Los mego wychowanka złotym losem będzie.

## Pułkownik.

O ty masz wiano droższe, niż herby i krocie,  
 Dziewiczość, obyczaj i duszę niewinną,  
 Znam ludzi; Staś na życie, wierz mi, przylgnął do cie,  
 Odtrącisz go, on nigdy nie pokocha inną.  
 Więc choć w oczach twych czytam, że cię proźbą drażnię,  
 Proźbę moją powtarzam spojrzuj nań przyjaźnie.

## Stanisław.

Malwino, bądź raz sobą! — jakaż nieznajoma,  
 Mej rozpaczy nie nie syta, na nasz ból łakoma,  
 Potęgą twoją duszą, twoim losem włada,  
 Myśli twoje krępuje, na twych ustach siada?



(*klękając.*) Me życie w twojem ręku — tve słowo rozkazem,  
Życ nie będę — przysięgam! — albo z tobą razem.

Malwina (*szepcząc.*)

Stasiu! ty mnie zabijesz.

Świętosław.

On się tak nie drozył,  
Razem z Panią chciał ginąć, tylko z Panią ożył, —  
On Wisłą, jak Leander Helespontem płynął,  
Czyż Hero go odpycha, że wytrwał, nie zginął?

Pułkownik.

Dzisiaj dopiero widzę, żem nieznał Malwiny,  
Zabija dziecko moje bez żadnej przyczyny,  
Powiedz — Cóż go potępia? Cóż mu w drodze stawa?

Malwina (*z ostatniem wysileniem.*)

Panie mój! Ja nie kocham Pana Stanisława! —

Pułkownik.

A teraz już rozumiem.

Stanisław (*porywając się z ziemi.*)

Ojczy! ona kłamie!

Ona mnie kocha! — spojrzysz, co tam z nią się dzieje,  
Ojczy! ja jej miłości mam na czole znamie,  
Ja w jej sercu czytałem — i stokroć przysięgnę,  
Że mnie kocha.

Mania.

Malwinie słabo! mdleje, mdleje!

Świętosław (*na stronie.*)

Krnąbrna, czy chcesz czy niechcesz, ja was w jarzmo  
wprzęgnę!

Malwina (*chwyając Pułkownika za rękę.*)

Nie mogę — dziś nie mogę — choram — lzy mnie duszą,  
Lecz skoro się podniosę, Panu wszystko powiem;  
A teraz weź ich Panie — siły wrócić muszą,  
Dajcie mi tylko spocząć.

Pułkownik (*do siebie.*)

Ach cóż ja się dowiem?

(*głośno.*) Nadośmy w zdrowie biednej Malwiny ufali,  
Niechaj przyjdzie do siebie — Stasiu pójdziesz ze mną.

Stanisław.

Ojcie tu coś straszego dzieje się.

Pułkownik.

Chodź dalej,

Nie męczmy nieboraczkę, rozmową daremną,  
Chora, mówiła że mną bezprzytomnie prawie,  
Przystaw jej stolik Maniu! — Proszę Świętosławie. —

(*wychodzą.*)

Świętosław (*odchodząc.*)

Z odpoczynkiem i spokój niezawodnie wróci,  
A namysł zmieni słowo, które nas tak smuci.

## Scena piąta.

MALWINA, ŚWIĘTOSŁAW.

Świętosław *(który po cichu wrócił, kładzie rękę na ramieniu zamysłonej.)*

Rybko!

Malwina *(przeżrana.)*

Ach!

Świętosław.

Co ty znowu majstrujesz nowego?

Malwina.

Jestem chora, chciej mnie Pan, dziś samą zostawić.

Świętosław.

Pytam, coś porobiła? mam prawo do tego,  
Czy myślisz, że pozwolę, jak chcesz tak się bawić?  
Gdy chęotka przyjdzie jaka, białe ząbki suszyć,  
Gdy mucha na nos siądzie, mazać się i kruszyć?  
Co gorsza, nie zważając na chłód, przeziębienie,  
Narażać się na katar lub płuc zapalenie?

Malwina.

Jużem z pod twojej mocy całkiem wyzwolona.

Świętosław.

Ha! Ho! Panienko, zwolna, zwolna, pomaleńku!  
Ha! Ho! — Jeszcze nie jesteś twego Gacha żoną,

A choćbyś nią i była, trzymam cię w mem ręku,  
 A twardo, — jak ci zagram tak ty tańczyć musisz,  
 Żuj kaganiec cierpliwie, lub się w nim udusisz;  
 O i on będzie tańczył, łapy mu podsmolę,  
 Jak to uczą w smorgońskiej, sztuk nadobnych szkole:  
 A ty skończ ceregiele, — dziś ostatnia pora,  
 Daj przykład (*śmiejąc się*) Ślicznaż będzie z młodej pary  
 sfora!

Misia będzie się spinać, strydzz uszkami, nęcić,  
 Misio koło niej mrużąc, prysiudami kręcić,  
 A Hucuł nie zważając, na tkliwe zaloty,  
 Osękiem czasem przerwie, zbyt czułe pieszczoty!

Malwina.

Milcz! jestem całkiem wolna, Bóg zesłał poznanie,  
 I odtąd się skończyło twoje panowanie.

Świętosław.

Ostrożnie! drgnij, a ujrzysz, jak twoja niesława,  
 Miasto ciebie polecą, w łożo Stanisława.

Malwina.

Te strachy już nie na mnie, z skruchą i w pokorze,  
 Jutro jemu przez ojca me zeznania złożę.  
 Lżejsza, wypowiedana dobrym ludziom zbrodnia,  
 Od tajemnicy zbrodnią opłacanej co dnia.

Świętosław.

Czyś szalona, czyś z piekła taką myśl wywarła?

Malwina.

Przetężyłeś sprężyny, sprężyna złamała.

Świętosław.

Chcesz się zgubić, z bezcześcić, gdzieś masz wstyd na czole?

Malwina.

Niż z tobą dłużej hańbić, już się wstydzicie wolę.

Świętosław.

Namiejętność, wierzaj mi, zwodnicza Radczyni,  
Przebacz przyjacielowi, co każesz, uczyni.

Malwina.

Nie znasz mnie, — w zaślepieniu byłam twą poddanką,  
Dzisiaj mi w oczach jasno, zrobiło się cudem,  
Czuję wstręt, do twych zbrodni, brzydzę się twym brudem.

Świętosław.

Nie! nie, tyś zawsze była mą żoną, kochanką,  
Mem wszystkim.

Malwina.

O to wszystko, bardzoś nisko cenił,  
Gdyś go w ślepe narzędzie, twych zbrodni zamienił,  
Wiedz dzisiaj — nigdy nie kochała,  
Dzieckiemś mnie zabił, błotem, przy tobiem została.  
A ty bez miłosierdzia pastwiąc się nad łupem,  
Martwoteś brał za słabość i cieszył swym trupem.

Świętosław.

Pani! nie znalazem ciebie, otwarcie przyznaję,  
Objawiłaś się, panuj, — ja pod rząd twój staję,

Rozkazuj! — Wszak wiesz, że ja tylko srogi w słowie,  
 A serce nie zbyt rzadko, co tam gęba powie.  
 Zartów wstrzymać nie umiem, gdy się pora zdarza,  
 I żart miewam za przykry. — Toż cię jeszcze zraża?  
 O pod tą grubą łupą, ziarno nie zatrute,  
 Więc nałóż na zbrodniarza mniej ciężką pokutę,  
 A nie karz go tak srogo. — Chcesz Stasia zaślubić?  
 Przysięgam, wolę z głodu umrzeć, niż cię zgubić,  
 Milczeć będę do śmierci, jak kamień grobowy.

Malwina.

Jak widzę, twoja dusza już pojąć nie zdoła,  
 Że odkąd sama siebie po wartości cenię,  
 Choćby mi zapewniła, śmierć twoje milczenie  
 Tak splamiona jak jestem, jego być nie mogę.  
 Stało się — raz zabita nie zdołam już ożyć,  
 Jedno chce tylko, w grób się bez sromu ułożyć,  
 By brudem moim skrzydeł nie przyćmić Anioła.

Świętosław.

Niechcesz go? — Powiedz śmiało — na wszystkim gotowy,  
 Tylko nie zdradź mnie Pani, — sam wskażę ci drogę,  
 Sam wynajdę przytułek; sam przed nim zasłonę,  
 We wszystkim ci poradzę, pomogę z ochotą,  
 Uchodź! Uciekaj! Znikaj! Ja zmylę pogonie.

Malwina.

Zapóźno! — wczoraj klęcząc błagałam cię o to,  
 Wczoraj chciałam, byle go tylko oswobodzić,  
 Znieść ostatnią sromotę i z tobą uchodzić.  
 Nienawidzę cię — pojmij co to z takim Płazem,

Było dla mnie się łączyć i żyć znowu razem?  
 Pojmij, co każdy uśmiech do ciebie, kosztował?  
 Jaki wstyd, każde słowo, do ciebie, piętnował?  
 A zrozumiesz, że serce, co to wszystko zniosło  
 Już nad względy światowe całkiem się uniosło. --  
 Potem chciałam byle mu serce uratować;  
 Z ziemi, w niebo czy piekło przed tobą uciekać,  
 I z mą hańbą, twą zbrodnię na dnie Wisły schować.  
 Bóg wzbronił, więc pokuty nie można odwlekać,  
 Wiesz wszystko — myśl o sobie — przez noc milczeć będę.  
 O Manię jam spokojna — jak światło z ciemnotą,  
 Jej dusza się nie zgodzi, z twojej duszy brzydota.

Świętosław.

Kasiu, czyż w twojem sercu wspomnienia umarły?  
 Czyż z nich iskry litości już nie wydobędę?  
 Jesteś słabą, chcesz tylko kilka dni zaczekać.

Malwina.

O za mną już się wrota przeszłości zawarły,  
 Za niemi ty i rozpacz, przed niemi pokuta,  
 Z wszelkich ziemskich nadzieji i obaw wyzuta,  
 A im prędzej ją zacznę, tem lżej będzie duszy.

Świętosław.

Samolubna, ty tylko pamiętasz o sobie!

Malwina.

Nadto tobą pogardzam by myśleć o tobie. —  
 Chcesz złota, mam go dosyć, ja go znieść nie mogę,  
 Wszak to twoje bożyszcze, weź sobie na drogę.

Świętosław (*padając na kolana.*)

O Pani, czyż nie ciebie nie zmięczy nie wzruszy?  
 Daj mi czas do poprawy, pójdę twoim torem,  
 Będę odtąd cnót wszelkich i pokory wzorem,  
 Wyuczę się pacierzy, do spowiedzi klękę,  
 Postami się nie zrazę, pokut nie ulękę,  
 Na każde wielkie święto krzyżem się położę,  
 Pod czas mszy policzkować będę się w pokorze,  
 Wypiszę com gdzie zbroił — tym mi zwiążesz ręce  
 Mani szczęściu się milcząc na wieki poświęcę;  
 Wiesz, żem chytry, przewrotny, cobądź się wydarzy,  
 Jak pies, nad dobrem waszem będę stał na straży,  
 Tylko nie gub mnie Pani! wysłuchaj me modły!

Malwina (*chwytając za dzwonek.*)

Precz! Precz! Jeżeli nie chcesz nikczemniku podły,  
 Mieć świadków twej podłości! (*gdy Świętosław nie wstaje, dzwoni.*)

Świętosław (*zerwawszy się, złożonemi rękami błaga.*)

Miłosierdzia Pani!

Malwina (*do nadchodzącej służby.*)

Odtoczcie mnie z Werandy, nadto gadów na niej. —  
 (*odtaczają.*)

## Scena szósta.

ŚWIĘTOSŁAW (*sam.*)

Co to jest osła głowo? Trzeźwaś? Czy pijana?  
 Czy cię Czorci piekielnym zaleli szampanem?



Przed nią, przed niewolnicą, padłeś na kolana!  
 Szatanie! czyś już Klechę? czyś jeszcze Szatanem?  
 Cha! Cha! Cha! Zazulenka także kąsać umie,  
 Nagle wyszczerza żmyi zęby jadowite.  
 Choć tu! Nogą cię zdepczę w twardej pięści stłumię!

*(uderzając się w czoło)*

Ot głupiś Świętosławie, tve piersi odkryte,  
 Na wszystkie jej ukąsy wydane bezbronnje:  
 Byłbym z djablem szedł w zakład, że moją dozgonnie,  
 Obrozę niewolniczą dźwigała pokornie,  
 I chłostę przyjmowała — czemuż dziś opornie  
 Staje dęba? — Rybeńko! — Panicz cię ugłaskał?  
 Całusem, wszystkie moje zamiary roztrzaskał! —  
 Szatanie! daj Cyrograf! — me imię poprawię,  
 Od dziś dnia pisuj do mnie, Mości Głupiosławie!  
 Bo głupcze nad głupcami, głupiej rozumować,  
 Jak ty, małpa nie może — miasto rogi schować,  
 Tyś krzyczał, groził, kąsał. — Głupstwa Salamonie!  
 Za grosz cię pokazywać w oślich usz koronie.  
 Trza się było przyczaić, — milczkiem przywarować,  
 A dopiero po ślubie, — hadź ha! — zapolować!  
 Kochasz go? wiarołomna! — od dziś ja chce ciebie,  
 Ja cię znajdę i porwę, choćbyś w siódmym niebie,  
 Wyżebrała przytułek. — Głupiś! i cóż zrobię?  
 Mą hańbą jej tryumfy, tylko przyozdobie! —  
 Głupcze, nie chciałeś Stuły; właśnie nią związana,  
 Byłaby drząc leciała na świst swego Pana.  
 I wtedy trza ją było, zbrodnią, hańbą, zmazac,  
 A za duszę złapawszy, dziewicą być kazać! —  
 Twierdzą, że na szlachetne Panie i Panienki,  
 Trzeba żelaznej pięści, a stalowej ręki,  
 Bo w cnocie tysiąc stuczek znajdują do obrony, —

Wątpię, by Czort miał twardsze, niżli moje szpony,  
 A przecież się Piskorzem, z moich łap wyslizła,  
 I jeszcze jadem żmyi, w same ślipia bryzła.  
 Teraz schowaj pazury. — nie czas być Tygrysem,  
 Dziś ci pęzać Padalcem, dziś myszkować Lisem. —

*(zamyślając się)*

Do kroćset Męczenników, czas goni, ucieka,  
 A ty klniesz, jak pijany. — Co? — Co? — Co? — Eureka!  
 Przeświety Belzebubie! za tak zdrową radę,  
 Kiedyś prosto do ciebie, na nocleg zajadę!  
 Jajko Columba! — Rybciu! nie twoja wygrana!  
 Wkrótce padniesz pod stopy, twego Mistrza. — Pana.  
 Ha, a wtedy, i w Wiśle duszy nie ochłodzisz,  
 I dziewicą się w jego sercu nie odrodzisz.  
 Bo choć jak twe Paniątko żałośnie nie ślocham,  
 To cię całą mej duszy nienawiścią Kocham!  
 Kochasz go? O ja teraz już grę twoją widzę,  
 I żem tak późno ujrzał, jak Żak jaki wstydzę,  
 Lękasz się iść za niego, — bo wiesz że po ślubie,  
 Ja cię dopiero stokroć goręcej polubię,  
 Niechcesz go zgubić? Otóż ty właśnie go zgubisz,  
 Nie chcesz jego poślubić? więc trupa poślubisz! —  
 Co mi tam Dębów? — krocie? — co mi dziewczce krasne?  
 Gdybym żebrak, i torby już nie miał na własne,  
 Za wsze złota Australii! wsze perły Kalkuty!  
 Nie sprzedałbym mej zemsty, nie ścierpiał jej buty! —  
 Cha! Cha! Cha! Obłudniczka moja Kasia biała! —  
 Śwista knut, odkryj plecy! jemu trzeba ciała,  
 By się w nim rozlubował i twą krwią upity  
 Ciągle wracał do niego, krwi i łez nie syty.  
 Cnoto! Wszakżeś ty z ciałem zrośnięta koniecznie?  
 Czemuż, kiedy już ciało całkiem zwyciężone,

Cofasz się w serce, znowu pod inną obronę?  
 Tak że ogłupiałego dręczyć musi wiecznie,  
 Tylko jedno pytanie, — Co dusza? — Co ciało? —  
 Zresztą dzisiaj mi na tem zależy zbyt mało,  
 Co u mojej Kasiuni dusza, a co ciało,  
 Bo co jej to ma własność — nie prawdaż Szatanie?  
 Tyś mi ją przecież całą oddał w posiadanie,  
 Więc rzuć mi skrępowane i ciało i duszę,  
 Bo ja ją chcę mieć całą i całą mieć muszę! —

*Koniec aktu trzeciego.*

## AKT IV.

### Scena pierwsza.

*Pokój Pułkownika.*

PUŁKOWNIK (*sam.*)

Dzień piękny, lecz chmurami zaciąga od wschodu,  
Szare mgły po nad Wisłę, płaczą się w Wiklinie,  
Suche liście aż ku niej niesie wiatr z ogrodu,  
Zdaje się, będzie burza, zanim dzień przeminie.  
Oby tylko dzień taki, nie chciał być obrazem  
Mego życia — płynęło jasne jak pogody,  
Teraz chmury się czernią, byle z niemi razem  
Nie spadły grady, deszcze i zalewne wody.  
Tajemnica. — Nie lubię żadnej tajemnicy,  
Z ust Malwiny mi grozi. — Nocne tylko ptaki,  
Kryć się lubią przed światłem, i gnieźdzą w ciemnicy.  
A ona taka jasna, — jej żywota ślaki,  
Nie mogły iść pomrokiem. — Miejmyż więc nadzieję,  
Że dziwny mój niepokój, jak sen się rozwieje!

**Scena druga.**

PUŁKOWNIK, MALWINA.

Pokojowy.

Panna Malwina.

Pułkownik.

Prosić (*wychodząc naprzeciw*) A jakże tam  
z zdrowiem?

Widno jeszcze znużenie, więc otwarcie powiem,  
 Że może by i lepiej, na później odłożyć,  
 Pogadankę, by siły mogły całkiem ożyć!

Malwina.

Zanadto spowiedź ciężka, którą składać muszę,  
 Lżej klęknąć, — ale pozwól Panie, nim poruszę,  
 Własne grzechy, zdarzenie jedno opowiedzieć,  
 Które ze mną ma styczność.

Pułkownik.

Czyż koniecznie wiedzieć,  
 Mam tajemnicę Pani? — Od trzech lat się znamy,  
 I innej nie wymagam za ciebie poręki,  
 Niż piękność twojej duszy, a umysłu wdzięki.

Malwina.

Anielska twoja dobroć niezna żadnej tamy,  
 Lecz im ona jest większą, tem przykrzejszą spowiedź.

Pułkownik.

Każdy człowiek ma w oku słomkę, — w Piśmie stoi,  
Którą w belka rzekł Chrystus, zmieniać nie przystoi.  
W twem oku i tej słomki dopatrzeć mi trudno.

Malwina.

O Panie! Powierzchność często bywa złudną,  
Pomnę, raz będąc dzieckiem, rzewniem się s płakała,  
Gdy się sadzą zczerniła ma gołąbka biała.  
Być dla cię tą gołąbką, pełne łez zadanie  
I zwłoka niepodobna.

Pułkownik.

Jak chcesz, niech się stanie.

Malwina.

Więc ciężkiej mej spowiedzi wysłuchaj cierpliwie,  
Mych grzechów, ni zataję, ni usprawiedliwię.

Pułkownik.

Mów śmiało! Stary żołnierz na wzór spowiednika,  
Więcej sam siebie bada, niż pyta grzesznika;

Malwina.

Zanim do mego życia zwrócę się kolei,  
Od mojej przyjaciółki zacząć muszę dzieje.  
Oto biednej istoty dość zwykłe zdarzenie,  
Pojedyncze, jak prawda, gorzkie jak cierpienie. —  
Przed laty dziesięcioma w własnej wsi nad Sanem,  
Mieszkała młoda wdowa, — matka ładnej Kasi,  
Czternastoletniej prawie, — z Francji wtedy nasi

Sunęli się ku Turcji, — jeden z nich nad ranem,  
 Na samą Wilię przybył, a był mocno chory,  
 Więc wdowa pod opiekę wzięła go w litości,  
 Miał tyfus, trzy tygodnie był bez przytomności,  
 Wyzdrowiał. — Nim wstał z łóżka, długimi wieczory,  
 Kasia z matką naprzemian przy nim siadywała,  
 I szczebiotem go swoim bawiła dziecinnym,  
 Panie! on wtedy stał się niegodziwie winnym,  
 I Kasia nie mniej winną, od niego się stała.

Pułkownik.

Łotr!

Malwina.

Trwało to dwa lata, matka w ucziwości,  
 Nie przeczuwała nawet podobnej płochości.  
 Nareszcie się spełniło. — Biedactwo w rozpaczy,  
 Do nóg matki paść chciało, on kazał inaczej,  
 Zabronił.

Pułkownik.

Obląkane mocnoż go kochało,  
 Biedne dziecko?

Malwina.

O przed nim, jak przed ogniem drżało,  
 Bo był bardzo gwałtowny. — Rzekł — Zbieraj się w drogę  
 Ja głupiej szlachcianicy wyrzutów nie zniosę,  
 Hańbę twoją sam skryję — zbłądziłaś szkaradnie,  
 I o tem w swoim czasie, gdzie trzeba doniosę. —  
 Weź co możesz, bo płacić i grubo wypadnie,

Pojedziesz ze mną. — Żenić z tobą się nie mogę,  
Bo mam już inną żonę.

Pułkownik.

Zbrodzień!

Malwina.

A on kłamał!

I z wesołości serca, Kasi życie łamał.  
On żony nigdy nie miał. — Uwiózł ją za światy,  
Z czego żył? — Tego nie wiem -- sam nie był bogaty,  
Kasi biedne dostatki minęły do roku,  
Pełen tajemnic, w dziwnym trzymał ją uroku,  
I w takim posłuszeństwie, że ze swych biednych myśli,  
Codziennie się spowiadać musiała najściślej;  
I woli się swej wyrzec, i wyrzec sumienia,  
I być ślepem narzędziem każdego zachcenia.  
Tę tylko sprawiedliwość jednak oddać muszę,  
Że tyle kształcił umysł, ile spadła duszę.

Pułkownik.

Podlec! Chciał ją znikczemnić.

Malwina.

I znikczemnił Panie,

Jeszcze spało sumienie.

Pułkownik.

Nie zbyt trudno, dziecko,  
Zepsuć i na złe drogi sprowadzić zdradziecko.

Malwina.

Powstrzymaj nad występłą wielkie zmiłowanie,  
W jej duszy być musiała jakaś czarna plama,



Bo bez wstępu tą drogą idąc naprzód sama,  
 Łakomo sała z książek podaną truciznę,  
 Z Panią Sand się zmieniała w potwór, w pół-mężczyznę  
 Niemieckich myślicieli, bezceństwa brudne,  
 Proszą czującą żywo, zmieniały w obłudną,  
 I wkrótce jego zbrodni mogła być współnicą. —  
 On też coraz w niej większe kładąc zaufanie,  
 Odkrył jej swe zamiary. — Zgodziła się na nie.  
 Rozłączywszy się z sobą pozornie na lata,  
 W pewien dom nad wsze inne na świecie zacniejszy,  
 On Mentorem, a ona przeczystą dziewicą  
 Niby sobie nie znani, z różnych kończyn świata,  
 Wpadli jak oddech Dżumy, lecz od niej straszniejszy.  
 W nim żył starzec szlachetny, przy nim dwoje dzieci,  
 Na które oni podłe zarzucili sieci.

Pułkownik.

O to straszne!

Malwina.

Zbrodniarka spełniła zamiary,  
 Bo do niej lgnęło serce niewinnej ofiary,  
 I umiała obudzić nawet w ojcu samym,  
 Szacunek, ciągłą złudą, nieustannym kłamem.

Pułkownik.

I cóż ją zatrzymało?

Malwina.

Cud Boży jedynie,  
 Bo w niej serce zabiło po raz pierwszy w życiu,  
 Najczyściejszą miłością, i w takiej niewinie,

Że z oczów długo ciemnych gruba łuska spadła,  
 A dusza tak gwałtownie sumienie owładła,  
 Iż swą przeszłość przekląwszy, po pierwszym zabiciu,  
 Raczej w bezcześci skona, a rozpaczy zginie,  
 Nim jemu się pozwoli swą podłością skalać,  
 Nim wam wszystkim pozwoli takim błotem walać.

Pułkownik

Malwino!

Malwina.

Już tom imię przekłete rozdarła,  
 Z myślą zbrodni Malwina zaraz umarła,  
 A Kasia nie odżyła, — ni z czystą, ni z winną,  
 Nie czuję się pokrewną — jestem jakąś inną, *(klękając)*  
 Pokutnicą — i do cię z głębi duszy wołam,  
 Ratuj dziecko! — Ja Panie uczynię, co zdołam,  
 Każ umrzeć? — umrę chętnie, każ zniknąć? — a zniknę  
 Każ mu hańbę mą odkryć? — Sam odkryj — pozwalam  
 Od cześci, i od życia, i siebie odwyknę,  
 Co każesz, zrobię, tylko sobą go nie skalam.

Pułkownik *(podnosząc ją z rozżewnieniem.)*

Nieszczęśliwi, gdzież dojrzeć nadzieję zbawienia?  
 Na ziemi dla was nie ma sprawiedliwej wagi.

Malwina.

Panie, serce nadludzkie może znieść cierpienia,  
 Młodość jego pomoże, o nie trać odwagi,  
*(z zaczynającą się w końcu, aż w obłędnie przechodzącą gorączką)*  
 Powiedz wszystko, ja zniknę, lub umrę, jak każesz,

Przekonasz się — Bóg twoje uświęci starania  
 On od rozpaczy serca niewinne obrania,  
 Z czasem mu, z duszy, obraz zbrodniarki wymażesz,  
 A gdy ujrzysz, że całkiem już zapomniał o mnie,  
 Spuścisz ciepły promyczek na me zimne łożę,  
 Powiesz mu, że przed sobą, broniąc go niezłomnie,  
 Dałam mu wszystko — wszystko — co podła dać może.

Pułkownik.

Ach! jak ty jego kochasz? — Gdyby nie ten zbrodzień.

Malwina (*gwałtownie przerywając.*)

Nie kończ! nie kończ, — są w życiu takie straszne chwile,  
 Że jedno trza poświęcić!

Pułkownik.

To nie w mojej sile,  
 Stasio pół mego serca — nie wyda go serce,  
 Tobież, za taką miłość ginąć w poniewierce?

Malwina.

Panie; Ty stoisz w życiu, jak niegdyś wśród bitwy,  
 Duchem niesiony w niebo, na skrzydłach modlitwy,  
 Lecz świat twego Anielstwa nigdy nie zrozumie,  
 Zasztydzi zeń w swej złości, wydrwi go w swej dumie.  
 A ja? — ja błogosławić tobie będę codzien,  
 Jeżeli mnie uznasz godną, pomimo mej winy,  
 Nędznem życiem opłacić szczęście twej dzieciny.  
 Zresztą, — Cóż ci na biednej grzesznicy zależy?  
 A o nią bądź spokojny — ona pokrzepiona,  
 I niegodna pokuty łaską nawidzona.

Ja zostaw temu, który myśli, waży, mierzy,  
 A ratuj dziecko! — Wiesz co, nie mów mu nic o mnie,  
 Jam chora, większe udać potrafię cierpienie,  
 I wolną śmiercią, jego okupić zbawienie.

Pułkownik.

Dziecko moje, ty całkiem mówisz nieprzytomnie.

Malwina..

O nie! ja mam przytomność, — spytaj tylko jego,  
 Jaka ze mnie artystka. — O ja cię przekonam,  
 Jak ja udam chorobę, nagły postęp złego,  
 Gorączkę, mdłości, i w nich bez przesady skonam. —  
 Ach tylko w białej sukni, z Mirtem niech mnie widzi,  
 I za swoją umarłą kochankę, nie wstydzi.  
 A gdybyś Bluszcz odszukał, którym tak się drożył,  
 Bardzo miły byś wianek na me czoło złożył. —  
 Lecz jego miej na oku, jak martwą zobaczy,  
 Gotów się zabić w pierwszej godzinie rozpaczy,  
 Bo on mnie bardzo kocha. — A na mym pogrzebie  
 Żeby nie był — zginąłby.

Pułkownik (z troskliwością.)

Biedna! przyjdź do siebie!  
 Siądź tu — nie mówmy o tem — Bóg wielki pomoże  
 I wszystko się ułoży, jeszcze jakoś może.

Malwina.

A prawda? jak ci smutno, że gołąbka biała,  
 Z pod skrzydełka ci czarne pióra pokazała? —  
 Gdyby chciał, — Bóg by pomógł — może już pomaga,  
 Szukajmy! — we mnie dziwna nadzieja się wzmaga.

Pomógł! — pomógł! — Powiedz mu żeś kochał mą matkę,  
 Żeś aż dziś tę ciekawą rozwiązał zagadkę,  
 Ona, choć mnie przekleła w ostatniej rozpaczycy,  
 Za to się nie pogniewa, — pewnie nam przebaczy,  
 Ona naszego Stasia musi także lubić,  
 Że mnie z grzechu ocucił, niedał całkiem zgubić! —  
 A ciebie to nie skrzywdzi, roztrzepanym bywa,  
 Młody — a Mama była piękna i cnotliwa. —  
 O piękniejsza odemnie, — bo z ócz jej jaśniała  
 Jakaś czystość; — jam tego wyrazu nie miała.  
 Niech mnie kocha jak siostrę. — Ja znajdę mu żonę,  
 Dobrą, pocziwą, jakby dla niego stworzoną.  
 Imienną i posażną. — (*Z smutkiem.*) Nie! To nie dla ciebie,  
 Ty nie jesteś artystą, ty pomimo woli,  
 W pierwszej scenie byś całkiem, wypadł z twojej roli.  
 Z umarłą głądziej pójdzie. — Ale po pogrzebie; —  
 Pokaż rękę — za szorstka, Ojczy, twoja ręka,  
 Taka rana każdego dotknięcia się lęka:  
 O jemu w pierwszej chwili, międzyuchnej trza dłoni,  
 Nasza Mania, ma śliczne, ledziusieńkie rączki,  
 Palczęta, białej róży, w pół rozwite pączki.  
 Mania go kocha, Mania przedemną zasłoni.  
 Zresztą, to samo, że nas widział zawsze razem,  
 Pomoże myśli, moim złudzić się obrazem.  
 A ona ma już dużo kobiecości w sobie,  
 Ona z nim, w jednej za mną popłacze żalobie.  
 Listeczkami ledziuchno gorzkie łyzy osuszy,  
 Palusiami jak puszką, pogłaska po duszy,  
 I prędzej uspokoi (*całkiem bezprzytomnie*) O biedny mój Stasiu!  
 Trzaż ci było w mem sercu, szukać gniazdka Ptasiu!  
 (*gdy Pułkownik wstaje by dzwonić, Malwina się podnosi, i mówi,  
 jakby kogo widziała przed sobą.*)

Mama! Mama! — Żegna mnie! — przeboczonam Stasiu!

### Scena trzecia.

CIŻ SAMI, MANIA.

Pułkownik *(do wbiegającej Mani.)*

Dobrze że to ty Maniu! — Ta biedaczka chora,  
Ułoż ją, — ja czempędzej pošę po doktora.

Mania.

Co ci znowu, Malwiniu? Chodź ze mną kochanie,  
Temu wszystkimu winno tve przedczesne wstanie,  
Z nóg leciałaś, a byle odpowiedź nie zwlekać,  
Zerwałaś się, — szkaradna! — Staś mógł jeszcze czekać.

Malwina *(gdy ją Mania wyprowadza.)*

Mamo! Mamo! ja kocham! — biedny! biedny Stasiu!  
Nie ma ptaszki na gniazdku, puste gniazdko Ptasiu!

### Scena czwarta.

*(Zastłona na chwilę spada, a gdy się podnosi, scena przedstawia leśną polankę, w głębi ognie i kupy powstańców pijących i śpiewających przy nich. W dali słyhać wołanie chat, które od czasu do czasu powtarzane, tworzy jakby wtór do rozmowy na scenie, wcale na nią nie zważając.)*

### PIOSNKA ZBROJNYCH.

Chula Orzeł, w słońce leci,  
Co ma serce rwie się doń:

A o! woła „za mną dzieci.“  
Nizem Lance! — wiehrem koń!

Hetmań! hetmań! Orle nasz,  
Wszak ty w szponach, oręż masz!

Dziewcze płacze, — płacz kochanie!  
Już dla innej moja dłoń!  
Tamta mi za wszystko stanie,  
Po Dank krwawy, idę doń! —

Króluj! króluj! Orle nasz!  
Wszak ty w szponach, berło masz!

Niebo, — Piekło, — to mi jedno!  
Ona woła, broń, mnie broń!  
W Niebo! w Piekło! za nią biedną,  
A za inną, Boże chroń! —

Caruj! caruj! Orle nasz,  
Wszak ty Piorun, w szponach masz! —

Stanisław, Świętosław (*szybko wchodzą.*)

(*Stanisław ubrany z myśliwska, buty wyżej kolan, kapelusz włoski,  
z dropiem piórem, wchodząc mówi za sceną.*)

Zdjąć siodła! — Suchą trawą konie wyszczotkować!  
Ponakrywać kocami, — sakwy nagotować.  
Skoro całkiem ostygną, wzięść się do obroku! —

(*do Świętosława.*)

Sadziliśmy trzy mile, jakby w jednym skoku.  
Na konie nie wbiegane, to meta, nie lada,  
Zanim pójdziemy na zad, dodać sił wypada.

Świętosław.

Miło patrzeć na ciebie, mój ty wodzu młody,  
Inny ruch, — inna postać, — inne nawet chody.

O jam cię łatwo odkrył sarmacki Achilu,  
 Wybrałeś oręż z pośród błyszczycydek tyłu,  
 A teraz jestem pewny. kiedy przyjdzie powstać,  
 Tak trudnemu zadaniu, ty potrafisz sprostać.  
 Dziś tylko przegląd koni i ludzi dobornych,  
 Odbywa się po miastach, i na placach zbornych.  
 Bezpieczeństwo zupełne — liczne czaty w krzakach,  
 Kozacza po nad Wisłę, spi twardo w Czartakach.

Stanisław.

Zawszem był gotów, lecz dziś dałbym bardzo wiele,  
 Żebym taniec mógł zacząć na mych chwatów czele.

Świętosław.

Nie dziwię się, — po takiej, jak wczorajsza, burzy  
 Trud spoczynkiem, a sama walka sercu płuży,  
 Do tego, jeszcześ młody, i wszystko cię drażni,  
 A pójdzie po twej woli, zawierz mej przyjaźni:  
 Bądź pewien, że cię kocha. —

Stanisław.

O tem nie zwątpilem!  
 Jak tam w Boga na niebie, tak w nią uwierzyłem.

Świętosław.

Nie zawiedziesz się na niej, lecz z nich każda lubi,  
 Drożąc się nęcić męża, zanim go poślubi.  
 A po rozpaczy, chętnie, o miłości sądzi,  
 I twa Briseis się innym zwyczajem nie rządzi.  
 Więc na dzisiaj, to wszystko, wybij sobie z głowy,  
 I sprawuj, jakeś zaczął, chwacko urząd nowy.  
 Rząd narodowy, z tobą wielki zamiar wiąże.



Stanisław.

Skoro cel ujrzę, śmiało do niego podążę,  
 Choć dziś się przyznać mogę, że bez żadnej wiary,  
 Podnoszę broń — na krocie wrożego żołnierza,  
 Te garstki, które w pole pędzi duch ofiary,  
 A podtrzymuje złuda, obcego przymierza,  
 Nie starczą, a cóż żołnierz bez zwycięstwa wróżby?  
 Lecz skończmy, — koście padły, — bierzmy się do służby.  
 Masz spisy — najprzód ludzi, bronie i przybory,  
 A potem wezmę konie i cięższe tabory,  
 Daj znak, by się zbliżyli i czytaj kontrolę.

Stanisław (*duje znak, zbrojni podchodzą.*)

Bracia! z ramienia Rządu, komisarz zesłany,  
 Tego ogłaszam wodzem! — Prowadź nas Sokole!

Zbrojni.

Niech żyje Sokół!

Stanisław.

Czytaj.

Świętosław.

Oto lud spisany!

(*czyta, zbrojni odpowiadają.*) Bogdanowicz? — Tu! — Brzeziński? — Tu! — Czyżewicz? — Tu! — Czerkawski? — Tu! — Eminowicz? — Tu! — Leśniewicz? — Tu! — Madejski? — Tu! — Kaczorowski? — Tu! — Piotrowski? — Tu! — Smiałowski? — Tu! — Zagórski? — Tu! — Pawło Pawłów? Słuzt!

Stanisław.

Jakiś Moskal po mowie?

Świętosław.

Z nad Wołgi, kozacze,

Lecz nie wielu gorętszych, tu od niego baczę.

(*czyta dalej*) Przewłocki? — Tu! — Przygocki? — Tu! — Wilczyński? — Tu! — Kohn? — Tu! — Kalinowski? — Tu! — Geszöpf? — Tu! Duńcza? — Tu! — Żmigrodzki? — Tu! — Zareba? — Tu! — Załuski? — Tu! —

Rakszawski? — Tu! — Majer? — Tu! — Więc wszyscy przytomni;

Sześćdziesięciu na strazach, lub czatuje borem,  
Konny oddział, się w jarze, rozłożył z taborem.

Stanisław (*przechodząc po pod oddział.*)

Obejmuję dowództwo! — Chwaty bądźcie pomni,  
Dla odważnych, a karnych, będę wodzem dbałym,  
Lecz ktoby tyłem chodził, w oddziale kotłował,  
Lepiej by się przed wyjściem pod pierzynę schował.

(*uderzając po Gindziale*)

Bo jakem Sokół, z ostrym pozna się Gindziałem.

Zbrojni.

Za Sokołem i w ogień!

Stanisław.

Nigdzie przed Sokołem!

Wasz sztandar, — ot ta kitka, co nad mojem czołem,\*)  
A jakby kiedy przodem iść niechciała w biegu,  
Niech ją kulą napomni, pierwszy lepszy z brzegu!

Zbrojni.

Górá! Górá! nasz Sokół!

\*) Słowa Henryka IV

Stanisław.

Górą chodzić muszę,  
Póki was nie wyzwolę, a kajdan nie skruszę!  
Potem za jednym stołem wniosę już z wolnemi,  
Cześć polskiemu Rycerstwu! Cześć! Cześć! polskiej ziemi.

Zbrojni.

Górá! Górá! chwát Sokól!

Stanisław.

A teraz do koni!  
Zostań tu Świętosławie, — przejrzyj trochę broni,  
Która tylko nie pewna, połam, niech nie zwodzi,  
Bo tam zawód śmiertelny gdzie o życie chodzi. *(odchodzi.*

## Scena piąta.

ŚWIĘTOSŁAW, PAWŁO PAWŁÓW.

Świętosław *(ogłdnęwszy parę karabinów, bierze karabin Pawłowa, i prowadzi tegoż naprzód sceny.)*

*(głośno.)* Jakiś zamek nie pewny, — kurek słabo spada,  
Nie rozbije Pistona, — naprawić wypada.

*(do Pawłowa)* No co tam słychać Mosiu? — Czy Major na  
Ślaku?

Pawłów.

W dwie rotty, leży w gąszczach, czeka tylko znaku!  
Ale szkoda Sokoła, jakieś Puretzt feine. —

Świętosław

Ot Szlagun hurdu burdu! Laszątko zwyczajne.

Pawłow.

A oko ma zuchwałe, prawdziwie sokole!

Świętosław.

Padł w dół, więc głupi, niechże siedzi Wilczur w dole.  
Teraz ciebie za lasem postawię na straży,

*(pokazując świstawkę.)*

Jak świsnę w nią trzy razy, daj znak, niechaj praży!

Pawłow.

Panie Świętosław, tasuj, jak sam zechcesz karty,  
Co żydkowi się pytać, jakie Panów żarty?  
Ale kto wozem jedzie, niechaj wóz smaruje.  
Zdałoby się na rękę.

Świętosław.

Ot głupis mój żydzie.

Pawłow.

Żyd głupi, ale stróżny.

Świętosław.

To nie oto idzie,

Ale honor mi psujesz, — tracisz zaufanie, *(bijąc po kieszeni.)*

A tu złota, jak błota.

Pawłow.

Co to honor psuje?

Honor sobie, interes znowu sobie chodzi,  
A Bomażka ni temu, ni temu nieszkodzi.

## Świętosław

Jak ty mi służyć będziesz, tak ja się odwdzięcze  
 Kiedyś taki nieufny? oto masz naręcze.  
 Sto rubli — dodam dwieście, jak się gładko stanie,  
 Płacę hojnie — inny by i połowy nie dał,  
 Lecz wiedz! — żeś się już Diabłu, czy tam mnie zaprzedał.  
 Sokoła łatwo poznać po piórach, odzieży,  
 Niech wie Rabiata, że mu pierwsza się należy.

Pawłów.

Spij spokojnie Rebuniu. — Czarny nic nie straci!  
 Moszko w handlu uczciwy, bo uczciwość płaci.  
 Moszko dba o swój honor, — fałszywych kart nie ma,  
 Choć wie, że gdzie tak grają, tam djabeł Bank trzyma.

Świętosław.

Więc ruszaj! — strzyż uszami, — daj znak i uciekaj!  
 A u Małki, na ruble i rozkazy czekaj.  
 Bo to na dziś nie koniec, rubli i zabawy,  
 Do innej ciebie jeszcze potrzebuję sprawy.

*(wołając za scenę.)*

Podoficer służbowy! — Za borem, na zrębie,  
 Czata stawić Pawłowa, przy uschniętym dębie,  
 Stepowca wzrok jastrzębi, to już straż nie lada,  
 O milę jasno widzi, w gąszcz jak wąż się wkrada.

*(Pawłów odchodzi, Zbrojni się rozchodzą.)***Scena szósta.**ŚWIĘTOSŁAW *(sam.)*

*(Wołając za scenę.)* Osiodłajcie mi konia! objadę po lesie  
 Czy tam Czort nieproszonych gości zkąd nie niesie.

*(Wracając naprzód sceny, dobywa manierki i pije.)*

Łyktus, sis benedictus. Duch dodaje ducha!

*(pije.)* Taki niema, jak Genver, lub nasza Kopciucha!

Otóż to patryotyzm, lubować śmierdzidło,

Bo swoje, — choćby duszy, jak sam Genver brzydło!

*(pije. obciera usta rękawem i śwista 1szy raz.)*

A co droga Kasiuniu? dziś poznasz się na mnie,

Bo mnie jednego kochasz, a kochasz niekłamnie,

Jakeś wczoraj słodziuchno mówiła. — Fe dziecko!

Tak kłamać, byle mi się wysłiznąć zdradziecko.

Ot i w tobie łasiczko jest natura lisia,

To nie ładnie Kasiuniu! — daj mi za to pysia!

A ja ci zagram Rybciu! — Wiec bis repetita,

*(pije i śwista 2gi raz.)*

Szlagun dobry gorzelnik, — ostra Aquavita!

Erga bibamus! — póki jeszcze Czort niechwyta,

Pereat Mundus! — jakby wpadł pod me kopyta!

Omne trinum perfectum! *(pije.)* Hej cała kapela!

Trąby! — Kotły! — Cymbały! — Vitat! para młoda!

Niechaj grzmi! — huczy! — trąbi! — wyje! — piszczy! —  
strzela! —

Szampan jak krew się leje, — chcę mówić, jak woda!

To wiatr na mą świstawkę *(śwista 3ci raz.)* Teraz po Ka-  
sieczkę,

Nuż w nogi! — husz! — husz! — po mą białą Panie-  
neczkę; —

*(śmiejąc się i zataczając wychodzi, wołając za sceną.)*

Konia! Konia! jak Rychard, królestwo za szkapę!

Husz! husz! i Czort nie wyrwie, jak raz porwę w łapę!

*(W dali słychać strzały.)*

## Scena siódma.

STANISŁAW, ZA NIM ZBROJNI.

Stanisław.

Do stu piorunów! co tam dokazują czaty?  
Moskwa po wsiach, a oni palą na Vivaty:  
Strzelać wzbronilem — skarcić potrafię swawolę. —

Czata (*wypada z pospiechem.*)

Wodzu! dwie Roty Moskwy idzie na las cwałem.

Stanisław (*po chwili namysłu.*)

A parów jeszcze wolny? — Czy mają armaty?

Czata.

Dział niema — a w parowie wojska niewidziałem.  
Tylko wzgórzem się gęstą na bór wałą chmurą!

Stanisław.

Im gęstsza, tem się prędzej rozedrze na szmaty,  
I krwawym deszczem lunie na spragnione pole!  
Trąbić zbiór. (*słychać trąbkę*) Prosto w ogień rzucić prze-  
dnie straże,  
Konny Oddział niech baczy, dobrze skryty w jarze.  
Jak chustkę w górę cisnę, niechaj rwie z kopyta,  
A którądy uderzyć? mojej kitki pyta!  
Wy reszta Wiary za mną! — na pole honoru!  
Chcieli nas napaść w borze, — my napadniem z boru!  
Za sławę! Za ojczyznę.

Zbrojni.

Górá Polska! Górá:  
Za Sokołem i w piekło! Górá Polska Górá!

(*odchodząc tłumnie.*)

*Koniec aktu czwartego.*



## AKT V.

### Scena pierwsza.

*Noc. — Pokój Pułkownika.*

PUŁKOWNIK (*sam.*)

Nieszczęśliwe ofiary, podłego człowieka,  
Cóż teraz z wami będzie? — cóż teraz was czeka?  
Na próżno głowy, — serca, pytam czy jest rada?  
Głowa tylko się mąci, serce, tylko biada.  
Przeznaczenie! czymż jesteś? — czyż mam w ciebie wierzyć?  
Nie! nie! Tyś kłamstwem, Bogu tylko losy mierzyć.  
O! ja nie bluźnię Panie! — Ja w stu bitew dymie,  
Widziałem twoje ramię, słyszałem twe imię.  
Tylko oświeć mnie Panie! — Czemu na twej ziemi,  
Dozwalasz, Czortom pastwić się nad niewinnemi?  
Tylko oświeć mnie Panie! — Czemu gdy ofiara  
Krwawi się, od mordercy usuwa się kara?

Pokojowy (*wchodząc.*)

Pan Świętosław.

## Pułkownik.

Bezczelnik! A przyjąć go muszę,  
 Niech jeszcze trwa, jak dotąd, w zbrodniczej otusze,  
 Bo chorą by zamęczył podłemi wyrzuty,  
 Widząc odkryty zamiar, tak sprytnie usnuty.  
 Może być że mi powie, co się z Stasiem dzieje,  
 Od świtu nie powrócił, pewnie gdzieś szaleje.  
 Niespokojnym o niego. (*do pokojowego*) Może przyjść.

**Scena druga.**

PUŁKOWNIK, ŚWIĘTOSŁAW.

Świętosław. —

O Panie!

Z niemiłą wiadomością przychodzę do ciebie,  
 Staś w moskiewskiej niewoli.

Pułkownik.

Przez Boga na niebie,  
 Mów prędko, co się stało!

Świętosław.

Dziś o pierwszym ranie,  
 Kiedym siedząc przy oknie vertował Tacyta,  
 Ujrzałem jak ku Wiśle, Staś pomknął z kopyta,  
 Szczęściem pałasz mi błysnął, zgadłem co się święci  
 Dopadłem także konia, i w cwał bez pamięci  
 Puściłem się zań w pogoń. — Za Wisłą dwie mile,  
 Przedarłem się do niego, niestety zapóźno,

Bo Staś z kupą powstańców już leżał obożno.  
 Więc zostałem, by razem przetrwać te złą chwilę  
 I ratować szaleńca, ile w mojej sile.  
 Ledwom z konia zeskoczył, padły liczne strzały,  
 Obóz był napadnięty.

Pułkownik.

A cóż Staś w tym razie?

Świętosław.

Zerwał się i wydawał rozkaz po rozkazie,  
 Na próżno — bo żołdactwem zmrowił się las cały,  
 I w mgnięciu oka wszyscy legliśmy na trawie,  
 Sznurami skrępowani, uduszeni prawie.

Pułkownik (*kipiąc coraz więcej.*)

Przecież bez broni -- Panie! — Nieruszyli w pole  
 A przy pałaszu — Panie! — Podać ręce w sznury,  
 I dać się wiązać — Panie! — jak obożne ciury,  
 To jest tchórzostwo — Panie! — i niewierzyć wolę  
 Jeśli tylko przypadkiem, Panie postępowy,  
 Tyś nie podsunął — Panie! — taki pomysł zdrowy?  
 Sam, choć młody, — i wielkie popełnił szaleństwo,  
 Tak zapomnieć się nie mógł, bo z mej krwi ma męstwo.

Świętosław.

Pułkowniku! Tam czasu na męstwo nie było,  
 W minucie się zaczęło, a w drugiej skończyło.

Pułkownik.

A czy ranny przynajmniej, czy też się choć bronił?

Świętosław.

Nie wiem, bo dym całego mym oczom zasłonił,  
Ujrzałem go dopiero, gdy leżał na boku.

Pułkownik.

Gdzie dym, tam był i ogień, znać nie podał kroku,  
To już trochę brzmi lepiej, kończ złowrogie ptaszę.

Świętosław.

Lecz Panie! Z gorliwości nadto ciebie straszę,  
Sam przedmiot tak niemiły ciągle myśli matwa,  
Chciałem byś wszystko wiedział, więc przebacz mi, proszę,  
Jeżli na sam ostatek pociechę przynoszę.

Pułkownik.

Gdy honor szwank ponosi, pociecha nie łatwa,  
Najczystszy diament, z skazą krzemykiem się staje,  
Więc skończ i te pocieche.

Świętosław.

Jaką mam, podaję.

Major, co tym moskiewskim napadem dowodził,  
Razem ze mną w Kijowie kiedyś do szkół chodził.  
Poznał mnie, puścić kazał, i z pocziwym Czerskim,  
Piłem jakby w kabaku na naszym Peczerskim.  
A po nitce do kłębka, ab ovo, ad ova,  
Stańęło przy Stakanie, że Sokoła schowa,  
W spisie więźniów opuści, a ten należycie,  
Odwdzięczy się za wolność, jeżli nie za życie.

Pułkownik.

Więc Sokół jest mu mianem? to miano Rycerza,  
Bo Sokół własną piersią, na wroga uderza! —  
Jasyr złotem się płaci, więc o wykup mniejsza.

Świętosław.

Z powrotem Stasia także sprawa nie trudniejsza,  
Dałem słowo, że wrócę, — więc Regulus nowy,  
Z wykupnem, czy bez niego,....

Pułkownik.

O tem nie ma mowy,  
Tylko trzeba by zbadac. —

Świętosław.

Ja już go zbadałem,  
Niestety o wykupnie niechciał słyseć małem,  
Bo on na Pułkownika swego się ogląda;  
Czyn, czyną poczytuje.

Pułkownik (*zniecierpliwiony.*)

Mówże, ile żąda?

Świętosław.

Rzekł, jeżeli wrócisz zanim gwiazda świt naznaczy,  
Cztery tysiące rubli, — jutro już inaczej.

Pułkownik.

Pal Diable! — Spiesz się tylko! Idę po Bomażki!

Świętosław (*śmiejąc się.*)

Daj Panie tylko Dżingi, a reszta, to fraszki.

(*po wyjściu Pułkownika.*)

Staryś — a taki tępy — ufa mi — rzecz jasna,  
 Że Kasia dotąd milczy — taki skóra własna,  
 Śwędziła — Ja za prędko, uwierzyłem przecie,  
 W jej groźby. — Ha stało się — z Kasią i rublami  
 Nie tak źle jeszcze będzie na tym głupiem świecie!

Pułkownik (*wchodząc.*)

Oto jest i wykupno.

Świętosław (*przeliczając.*)

Widzę papierami  
 Austryckimi — ha mniejsza — jakoś to się zmienia  
 Bo rubel to właściwy kluczyk do sumienia.

Pułkownik.

Łotr lęka się, bym nie skradł, co z własnych pieniędzy.

Świętosław.

Cztery tysiące z górą!

Pułkownik.

Leć i wróć czempredzej.

(*Gdy Świętosław owija w papier banknoty, wchodzi pokojowy.*)

Pokojowy.

Na pańskim koniu, przybył jakiś człowiek młody,  
 Chciałby zaraz być z Panem.

Pułkownik.

Jakież dał powody?

Pokojowy.

Mówił tylko, — Jeżeli Pan spi, to obudzić.

Pułkownik.

Prosić.

Świętosław.

To pewnie żebrak, będzie prozbą nudzić.

Pułkownik.

Co żebrak o północy?

Świętosław *(do siebie.)*

Coś mnie za drzwi woła.

### Scena trzecia.

CIŻ SAMI, ZBROJNY.

Zbrojny.

Pułkowniku! Jam żołnierz z oddziału Sokoła,  
Na swym koniu mnie wysłał, bym twoje obawy,  
Skończył. — Dziś Panie Sokół przewalczył bój krwawy,  
Ranny, ale zwyciężył.

Pułkownik.

Otóż takiej mowy

Słuchać, zawsze lubię!

Zbrojny *(salutując Świętosławowi.)*

Pan komisarz rządowy.

Świętosława (*zdejmując okulary.*)

Mylisz się Pan! Niebyłem nigdy przy urzędzie.

(*do Pułkownika.*)

Spieszę, aby czempredzej zakończyć wyprawę.

Pułkownik.

Wstrzymaj się, wszak Pan przywiózł nowiny ciekawe  
Może nasz zamiar jeszcze trzeba zmienić będzie.

(*do Zbrojnego.*)

Z oczów ci patrzy dobrze, — skończ o mojem synie

Zbrojny.

Toś Pan ojcem Sokoła? przebac że mi Panie!

Pułkownik.

Co? w niczem nie zbłądziłeś, o nic cię nie winię.

Zbrojny.

Zbyt nieuważne, rzekł bym płoche, powitanie,  
Bo z rodzicem Sokoła, trza mówić inaczej,  
I kolano uścisnąć, gdy pozwolić raczy. —

Pułkownik.

Czy już wam tak do serca przypadł? — mów! a śmiało!

Zbrojny.

Żebyś Panie był widział, gdy borem zagrzmiało,  
A my stali jak wryci, napadem zdziwieni;  
Jakiem spokojnem okiem powiódł wzdłuż przestrzeni,  
Część nas rzucił w rozsypkę, drugą częścią znowu,  
Uderzył w skrzydło wroże nagle od parowu,  
Aż wróg się zachwiał, — a gdy w kilkanaście koni,  
Bo on i bił się wszędzie, i wszędzie dowodził,



W Moskwę, przestraczem, jętą, piorunem ugodził,  
 Że rozbita w rosyjce, pierzchnęła po błoni,  
 Byłbyś Panie grzmiał jak my, Hura! Sokołowi!  
 W jeden okrzyk zwycięzki...

Pułkownik.

Któremuż z was wierzyć?

Świętosław (*bezczelnie.*)

Który z nas prawdę mówi, blizka przyszłość powi.

Pułkownik.

Jeden mówi po sercu, i żywym obrazem,  
 Jest duszy mego Stasia prawdziwym wyrazem  
 Gdy drugi w gładkiej mowie trochę się zacina,  
 I jakby jego nie znał, plami mego syna.

Świętosław.

Niebezpieczeństwo Stasia tłumaczy te słowa,  
 Panie, nie równie więcej, niżli siwa głowa;  
 Lecz tego Zucha proszę, więcej słowa mierzyć,  
 I by fałszywych wieści, i kłamstw nie roznosił,  
 Nim los jego rozstrzygnie, głos wyższego sądu,  
 Pod arest biorę, jako pełnomocnik rządu.

Pułkownik.

O, będę Pana mego o cierpliwość prosił,  
 Pod mego gniazda dachem, ja jeden mam władzę,  
 W nią się wdzierać nikomu, najmniej, Panu radzę.

Zbrojny (*do Świętosława.*)

Pan śmiesz mnie podejrzywać (*zaczynając pruć czapkę.*)  
 Oto list Sokoła

*do Pułkownika.)*

Ten cię Panie, przekonać bezwątpienia zdoła

Pułkownik.

List od Stasia? — Dawajże!

Świętosław (*gdy Zbrojny pruje czapkę.*)

Stuczka dobrze znana,

Żeby kilka guldenów wyłudzić od Pana.

Pewnie list podrobiony.

Pułkownik (*dostawszy list, rozrywa i czyta.*)

„Jestem ranny w nogę,

„Letko, lecz konia dosiąść jeszcze dziś nie mogę

„Więc Oddział rozpuściwszy, wozem do cię jadę.

„Resztę żołnierz opowie.“ — Zaczynam czuć zdradę

A lepszych mi dowodów, niż strach jego nie trza!

Świętosław (*porywając się za głowę.*)

Ach! głowa! głowa! głowa! Powietrza! powietrza! (*ucieka.*)

Zbrojny.

Przytrzymam go — każ Panie!

Pułkownik.

Puść go! niech przepada!

Był łotrem, był oszustem — brakowała zdrada.

Zbrojny.

Teraz mógłbym zaprzysiądz. — To on Oddział zdradził

A Moskwę Pawło Pawłów, — jego druh sprowadził.

Znajdę ja tego ptaszka, a wtedy kark skrećę.

## Pułkownik

Nie brudź się nim, — na cudze niechaj idzie ręce,  
 Staremu żołnierzowi wierz! — nie dla żołnierza,  
 Być oprawcą — Tym sam się plami i poniża.  
 Stryczek, lub nóż ukryty oczyszcza ofiarę,  
 I w zbrodnią zmienia, choćby zasłużoną karę. —  
 A teraz po dniu takim i po takiej jeździe,  
 Odpocznij tu swobodnie w twego wodza gnieździe!

*(dzwoni i mówi do wchodzącego pokojowego.)*

Do gościnnych pokoi, Pana zaprowadzić,  
 Podać starego Węgra, wieczerzę przyładzić,  
 A mnie konia osiodłać! Ciemno — z latarniami,  
 Kozacy ruszą ze mną. — Błotnemi goblami,  
 Wóz pewnie żółwiem krokiem, ku domowi zmierza,  
 A mnie pilno, w mym synu, powitać żołnierza.

## Pokojowy.

Młody Pan już dojeżdża, za chwilę tu stanie.

## Pułkownik.

Ha! dzięki Bogu! idźmy! — idźmyż na spotkanie.

*(wychodzą.)*

## Scena czwarta.

*(Pokój Malwiny, noc, na lewo drzwi szklanne, na prawo drzwi do innego pokoju. w głębi drzwi.)*

Malwina *(wychodzi z prawych drzwi, w jednym ręku z świecą, którą stawia na stole, w drugim z rewolwerem.)*

Mówią, że po nad straszną przepaść Niagary,  
 Śmiałek, idąc po drucie, tylko tem się trzyma,

Że do drugiego brzegu, przykuty oczyma,  
 Nie spogląda pod siebie, w dzikich spadów jary.  
 Ja przeciwnie, u końca, będąc mego biegu,  
 Gdym jego rozpoznała na przeciwnym brzegu,  
 Zadrzałam! — I runąwszy w bezdenne otchłanie,  
 Rozbita, o skał zęby, znikłam w kaskad pianie.  
 Lecz czemuż jeszcze żyję? — kiedym już zabita?  
 Czyżem duchem bezśmiertnym? czym jeszcze kobieta? —  
 Jakże szybko gaśnicie, mego szczęścia cienie!  
 Pójdę w świat, gdy się pierwsze rozszarzy zadnienie.  
 Gdzie pójdę? — obojętna! — byłem tu się cała,  
 Sercem, duszą, myślami, życiem pozostała.  
 Byłam w jego pokoju — teraz wiem dokładnie,  
 Gdzie duch mój mieszkać będzie — i już w tę zaciszę,  
 Jak matka, dziecię, — do snu, myśl mą ukołyszę:  
 Żeby wyjść z niej nie śmiała. — Jak tam mężko, ładnie,  
 Rodu jego rycerzy, pancerze na ścianie,  
 Skóra niedźwiedzia łożu, za całe posłanie.  
 A nad nim, pod Najświętszą Częstochowską Panią,  
 Ta broń wisiała, — kiedym się patrzyła na nią,  
 Pani mówić się zdała „Ją ci na straż daję,  
 A broń, „Weź mnie! na służbę do ciebie przystaję,  
 I wzięłam ją, i odtąd już mniej serce boli,  
 Bo się czuję mniej samą, i w mniejszej niewoli.  
 A z tamtych mężkich zbroji coś w mą duszę gada,  
 Co ją męztwem napawa, i nią całkiem włada. —  
 Inne, kwiatki, lub włosy, biorą w upominek,  
 Ni kwiatka, ni też włosa, nie wzięłam w spuściznie,  
 Kwiatek niknie, włos gaśnie w bezbarwnej siwiźnie,  
 Tyś lepsza (*wskazując na rewolwer.*) Ty nie spełniesz jak  
 włos lub barwinek. —

(*kładzie rewolwer na stole i zamysła się.*)

Nad mojem Sanem , kwitną dziwne kwiaty,  
 Jeden nie rośnie , zapomnienia kwiat,  
 Ah ja bym chętnie wszystkie dała kwiaty,  
 Byle gdzie znaleźć , zapomnienia kwiat !

Nad mojem Sanem , szepezą dziwne ptaki,  
 Milczy kukułka , ten nadziei ptak ,  
 Ah ja bym chętnie , wszystkie dała ptaki,  
 Byle nie mileżał , mojej wiosny ptak !

*(budzące się jak ze snu.)*

Jakże mi ciśnie głowę , — serce bierze w kleszcze,  
 To ogień mnie przenika , — to przechodzą dreszcze. —  
 Jakże mi smutno , — dziwno , — jakże we mnie płacze? —  
 Niedawnom go przy sobie czuła przez dzień cały  
 Piłam jego spojrzenia co w mem oku drzały,  
 A teraz? — Teraz nigdy już go nie zobaczę. —  
 Nigdy? — Cóż to za słowo? — Czemuż ludzkiej mowie,  
 Danem? — Śmierć , rozpacz , piekło , w jednym mieście  
 słowie?

Jak w tych jasnych pokojach dziś wszystko w żałobie,  
 Tak ciemno , pusto , zimno , — może ja już w grobie?  
 Możem zasnęła , a on kazał zamurować , —  
 Ale ja już od trzech dni nie zamykam oka,  
 Nie! — Nie! — Staś , Mania , — wśród nich nie mógł mię  
 pochować.

Nie! — Nie! — To nie grób — ściana jasna i wysoka. —  
 Ach Szatan! Szatan! Szatan! — gdy już mnie był zabił  
 Pocóż kazał zmartwychwstać? Do życia przywabił.

Ileż razy by umrzeć , jeszcze skonać muszę?

I gdzież pewnośc , że znowu , żyć mi nikt nie każe?

Już dwa razy skonałam — ach! a to tak trudzi;

Jutro skonam , — cóż z tego? — ktoś pewnie obudzi. —

Żeby choć po skonaniu zawsze zmieniać duszę ,

Być pewną , że byt nowy , byt miniony zmaże?

O za każdą w tem biednem życiu ludzkim zmianą,  
 W duszy powinny gasnąć, pamięć i wspomnienie  
 Na cóż pamięci, gdy już w nowy świat zasłaną,  
 Ma dręczyć świeża boleść, truć nowe cierpienie?  
 Wszakże kiedy w Katorżne zsyłają skazańca,  
 Dają mu Numer, przeszłość z nim nie idzie w Roty,  
 By w nowe życie dusza wchodząca w wygnańca,  
 Jednego tylko życia cierpiała zgryzoty.  
 Czemuż Panie w twych sądach tej litości nie ma?  
 W której sam On ofiary swojej zemsty trzyma.

### Scena piąta.

MALWINA, ŚWIĘTOSŁAW.

Świętosław (*pukając do szklanych drzwi.*)

Pani! — To ja! — wyrzuty sumienia nękania,  
 Chciałbym, u stóp twych jeszcze uderzyć kolany,  
 I duszę splugawioną, zbrodnią, kałem, grzechem;  
 Oczyszczyć przebaczeniem, i ust twych uśmiechem.  
 Otwórz! Otwórz mi Pani! — mnie, już się nie lękaj,  
 Żal mi oczy otworzył, obmierzył mi grzechy.

Malwina.

Ach oddal się nędzniku, nie dręcz mnie, nie nękaj.

Świętosław.

Nie odmów że mi Pani jedynej pociechy,  
 Tyś święta! — o ty zbrodnię zmazać mi pozwolisz,  
 Ty przyjmiesz moją pomoc! Sam widzę — tu zginiesz  
 Jeżeli dłużej zostaniesz! — Uchodź, — uchodź — wolisz,

Zaufać mi — jam inny — zaufaj — wypłyniesz,  
Znowu na jasne wody, — słyszysz jak ślocham,  
O jam się całkiem zmienił, — inaczej cię kocham.

Malwina.

Przestańże mnie zameęczać, bo zawołam ludzi!

Świętosław (*wysadzając drzwi.*)

O niech się piękna Pani zbytecznie nie trudzi!  
W zamku nikogo nie ma — twój Gach już nie żyje,  
Sam wydałem Don Juana, Moskwie na zabawkę,  
Na sośnie mu sprawili, bezpłatną chuśtawkę.

Malwina.

Kłamiesz łotrze!

Świętosław.

Dawajże prędko w Arkan szyję!  
Chodź tu do mnie Rybenko! — mojaś ciałem — duszą,  
Twe liczka mnie upajać, — twe lzy lechtać muszą,  
Ze mną -- rozumiesz Rybciu, z łotrem, zdrajcą, katem  
Żyć musisz, póki zechcę, i żyć pod mym batem.

(*Gdy Malwina się broni, on śwista, i wpada dwóch kozaków.*)

A co teraz Kasiuniu? — Chodź bo związać kazę.

Malwina (*kryjąc się za stół, znajduje rewolwer.*)

Ach! To Staś! — Niedotkniesz mnie!

Świętosław (*chcąc się rzucić na nią.*)

A nuż się odważę.

(*Jeden z Kozaków zrzuca opończę i stając w przepasce trójkolorowej  
pochwytuje Świętosława za barki.*)

Wysłaniec Rządu narodowego.

Na rozkaz Rządu, który plamiłeś zawzięcie,  
Pod jego imię twoje podsuwając zmayı,  
Bezprawnie dzierząc urząd, — fałszując rozkazy  
Aresztuję cię łotrze! — Wszak znasz te pieczęcie?

Świętosław (*zdziwiony.*)

Co?

Wysłaniec.

Sam zeznałeś zbrodnię — niepewność skończona,  
Sprawiedliwość spokojna, zbyt uczynna obrona.

Świętosław (*przychodząc do siebie i kładąc rękę za czamare.*)

Co?

Wysłaniec.

Chodź ze mną, na stryczek skazanyś za zdradę,  
(*gdy jedną ręką pokazując wyrok, drugą chce go uprowadzić, Świętosław uderza go sztyletem.*)

(*padając.*) Przeklęty!

Świętosław (*ocierając sztylet o rękaw.*)

Nie z Gawronem sprawa Mości Rządzie!  
Różniliśmy się w całym na sprawę pogładzie,  
Tyś sprytny, — a ja czujny; — tobie obcej ręki,  
Potrzeba, ja mam własną, wprawną Bogu dzięki,  
Chcesz mego życia? — Veto uroczyście kładę, —  
A pamiętaj Przeświętny, że ja także ważę,  
I tobie oko w oko, zajrzeć się odważę.  
Walczysz ze mną? ha walczmy — Czort wie, kto przemoże,



Bo Lis ma sto nór w jamie, tysiąc sztuczek w worze.

(*Do Kozaka.*)

Wyrzuć go Mosiu! z nią ja sobie sam dam radę.

(*Gdy tenże wynosi trupa, zbliżając się do Malwiny.*)

Patrz Święta! dokąd twoja cnota nas zawiodła,

Teraz za mną i na hak, Niewolnico podła!

Malwina.

Jakbyś do mnie się zbliżył, trupem cię położę.

Świętosław.

Żarty Rybciu! (*rzuca się na nią, ona strzela, Świętosław chwytając się za piersi, pada.*)

Ach!

Malwina (*wypuszczając rewolwer.*)

Teraz, ty mnie sądz, mój Boże!

Świętosław.

Nie trafiłaś, — porwę cię, — piekielnicaś, — jędza,  
Piekło, — Mosiu! — sto rubli! — krzyża! — krzyża! —  
księdza! — (*kona.*)

### Scena szósta.

(*Po strzale wszystkimi drzwiami wlatują Pułkownik, Stanisław, Mania, Zbrojny, służba z światłem.*)

Stanisław.

Malwino! co się stało?

Malwina (*która stała po strzale nieruchoma, usłyszawszy głos Stanisława, nie mając siły się zwrócić, pochyła się tylko ku niemu*)

Żyjesz Stasiu? — Żyjesz? (*obejmując go za szyję.*)

On kłamał — żyjesz? — żyjesz? — kłamał. — Żyjesz? —  
Żyjesz? —

(*Malwina coraz więcej słabnie, a gdy wszyscy obstepują Świętosława, Mania i Stanisław układają ją na sofie.*)

### Służba (*z światłami.*)

Pan Świętosław!

### Zbrojny.

Tuś łotrze? Gdzieś postawił nogę,  
Krew, -- Zbrodnia, — śmierć i rozpacz znaczyły twą  
drogę.

Teraz zryj! — knuj! — i kłaj! — w piekielnej otchłani,  
Póki się ciebie Czorta, nie wyprą Szatani.

### Pułkownik.

Zbrodzień, uszedł właściwej za swe zbrodni kary,  
Straszny Sędzia dopełni sprawiedliwej miary!

Malwina (*do Stasia i Mani, klęczących przy niej.*)

Odsłoń mi oczy! — jeszcze — chcę cię widzieć — Stasiu —  
Stań bliżej — już nie widzę — choć tu do mnie — Ptasiu!  
Do mnie! — Do mnie! — na wieki — kocham — ciebie —  
Stasiu! — (*kona.*)

### Mania.

Uśmiecha się! — szept cichy, usta jej otwiera,  
Ratujcie ją na Boga! — Trętwieje! — Umiera! —

Pułkownik (*kładąc rękę na sercu Malwiny.*)

Nie bije. — Dzieci. — Ona — Ona! już szczęśliwa! —  
Niewolnica skonała — w Niebo Anioł wpływa! —

Stanisław (*porywając za rewolwer.*)

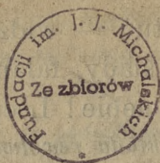
Czuję powiew jej lotu! — widzę jak się ściele,  
Niebo, pod stóp jej ślady, falami światłości.  
Lecę! — Lecę! do ciebie! Lecę mój Aniele.  
(*przykłada rewolwer do piersi.*)

Zbrojny (*chwytając go za rękę.*)

Stój! — ja zaklinam ciebie na te święte kości,  
Którymś zemstę zaprzysiągł nad krwawą mogiłą,  
Wodzu mój! — Ty Lwie boju — wstrząsnij się lwią siłą!  
Pomnij, że gdy kraj kipi, zbrojąc się w modlitwie,  
Połknąć kulę, to samo, co tył podać w bitwie. —  
Za tve ziemskie rozpacze, — Pan odwet ci daje,  
Bój woła! — Honor zmusza, — Matka zmartwychwstaje!  
Tam! — Tam! — poślubne łoże zasłać ci przyrzeka,  
Tam twój Anioł iść kaze! — Tam twój Anioł czeka.  
(*Stanisław wypuszcza rewolwer z ręki, Zasłona spuda.*)

**K o n i e c .**

---



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68-62, 26-62-31 w. 42







F

2491